Dwa romanse Walterscottowskie

J. U. Niemcewicza „Jan z Tęczyna“ i F. Bernatowicza „Pojata“.

(Ciąg dalszy.)

Jedną z najważniejszych zasług i zdobyczy romansu WScottowskiego jest — jak wiemy — wprowadzenie mas, nadto pokazanie w romansie nietylko osób znamienitych, nietylko jednej sfery, jednej warstwy, ale obok sfery wyższej, także niższej, obok baronów z nizin także klanowców górskich, obok rycerstwa — mieszczan, obok dostojników — chłopów. Dwie te sfery obyczajowo przeciwstawiają się sobie nawzajem, pierwsza jest wykwintna, druga barwna, pierwsza umie swe namiętności trzymać na wodzy, druga jest raczej wybuchliwa, pierwszą oglądamy zazwyczaj jakby rozłożoną na cząstki składowe, drugą najczęściej w skupieniu, w masie. Obie dopiero razem, uzupełniając się nawzajem, dają obraz społeczeństwa tej epoki, którą autor chce przedstawić.[1])

Niemcewicz, który wyraźnie zaznaczył, że „romans historyczny wystawia nam ludzi wszelkiego rzędu i stanu“, pomyślał, pisząc „Jana z Tęczyna“, o tej drugiej sferze i postanowił dać nam jej obraz. Jest nią w powieści, w przeciwstawieniu do głów koronowanych, dostojników dworskich, magnatów, senatorów, znakomitych pisarzy, szara brać szlachecka. Tu, w tym romansie, została ona pokazana po raz pierwszy, przed „Panem Tadeuszem“, i pokazana z świadomością celu. Oglądamy ją dwukrotnie, raz w czasie obiadu u wojewody, powtórnie podczas sejmiku. Pozatem z innych sfer są tylko poszczególne figury (mamka Jana Tęczyń-

[1]) Porówn. PT—WSc, 21.

skiego i jej mąż, epizodycznie mieszczanie i mieszczanki, „jedna ze starych niewiast“ — wieśniaczek...)

Rzecz wysoce zajmująca, jak Niemcewicz przedstawił tę drugą warstwę, wprowadzając ją w zbiorowiskach, z czem łączy się zagadnienie, jaką wartość można przypisać Niemcewiczowskim scenom zbiorowym.

W pewnej mierze panuje w „Janie z Tęczyna“ w tym zakresie metoda WScottowska. Jakież to sceny zbiorowe? Ważniejsze: rada u wojewody Tęczyńskiego, obiad u tegoż, sejmik, epizod na turnieju.

Przedmiotem rady u wojewody są instrukcye na sejmiki: małżeństwo króla i sprawa obrony granic.

Jak to wykonane? Najpierw przemawia wojewoda w sprawie unieważnienia małżeństwa królewskiego, wygłaszając długą oracyę. Po niej krótkie milczenie, młody Tęczyński zasmucony, Zamojski „tłumi w sobie chęć odpowiedzenia“. Zabiera głos hetman Tarnowski i, znów „w dłuższej mowie“, broni ważności małżeństwa Z. Augusta i Barbary. Po Tarnowskim „silnie popiera“ zdanie wojewody kasztelan Żarnowski (mowa krótsza niż poprzednie), poczem „mówiło... wielu sędziwych mężów, między nimi biskup Gamrat i wojewoda Kmita, lecz ci, na dwóch zawsze siedzący stołkach, w sposób, z którego i wojewoda sandomirski i Zygmunt August zarówno mogli być kontenci“. Wreszcie, na wezwanie wojewody, „z uszanowaniem“ „odzywa się“ „uczony kawaler“ Zamojski i staje na stanowisku Tarnowskiego, zwracając natomiast uwagę na niebezpieczeństwa, grożące ze strony „barbarzyńskich ludów“. Gdy, ośmielony wystąpieniem Zamojskiego, młody Tęczyński chce wyjawić własne opinie, ojciec mu przerywa i kończy naradę uwagą, że chciał tylko „exquirere zdania“. Zaczem „rada zakończyła się“.

Tu jeszcze nie można mówić o metodzie WScottowskiej, chyba żebyśmy zwrócili uwagę na sam pomysł wprowadzenia rady do romansu. Rzecz traktowana schematycznie, mowca po mowcy wygłasza perory, tłumu i jego reagowania na mowy nie widać, barwności ani śladu.

Podobnież nie dopisał obiad, mimo że oglądamy tam wojewodę pośród „kilkuset mniej lub więcej majętnej szlachty“, mimo iż przemawia sam gospodarz kilkakrotnie, a dwukrotnie wzniesieniem zdrowia odpowiada mu Zawisza. Znów brak tu plastyki, ruchu, dramatyczności, ale tłum daje już po trzykroć znać o sobie, co prawda przez usta autora, raz, kiedy czytamy „tu kilkaset

puharów podniosło się razem w górę i z *radosnymi okrzykami* natychmiast wypróżnionymi zostało“, drugi raz, gdy nas autor zapewnia, że, „znów wśród radosnych okrzyków spełniono puhary“, trzeci raz, kiedy za wniesieniem pieczeni „rzuciło się na nią — jak czytamy — kilku braci szlachty“ i bezpośrednio potem, kiedy na odgłos trzaskania harapów rozlegają się „powszechne śmiechy“ u stołu.

Metodę WScottowską w pewnych jej przejawach znajdziemy dopiero w obrazie obrad sejmikowych.

Najpierw dekoracya: po wzgórzach i błoniach nadworne wojska magnatów, „gwar niezmiernego tłumu, rżenie koni“, mieszkańcy zwożą z daleka obrok, siano, żywność. Potem wzajemne odwiedziny, traktament, dla „małej szlachty“ zastawia się „niezmiernie długie“ stoły...

Dzwony, pochód do kościoła, po nabożeństwie poseł królewski czyta uniwersał, zachęca do zgody. „Gdy skończył, powstał *szmer* w natłoczonem *mnóstwie*. Był to ocean głów, podług *gwałtowności poruszeń* mniej lub więcej *burzliwie chwiejący się* w rozmaite strony“ (tu uwydatniona rozmaitość strojów).

A teraz obiór marszałka. Ze strony królewskiej podano pana Pełkę.

— „*Nie pozwalamy* — odezwali się przyjaciele Tęczyńskiego — pan Niemira będzie marszałkiem.

— Ten tylko będzie — *przerwał* młody Jan Zamojski — kogo większość obierze; pójdźmy na kreski.

— *Na co tu kresek — zawołał* pan Dębiński — dosyć spojrzeć, by widzieć, gdzie większość; czapkami was wszystkich zarzucim.

— Nie byłby to — rzekł Zamojski — sposób obradowania godny wolnych ludzi.

— Prosimy — odezwało się *kilka* głosów — *z większem uszanowaniem* mówić o nas, nie ludzie, ale szlachta jesteśmy; niech nam tu bakałarze z Padwy nie przypisują praw.

— Ani też — *przerwano* ze strony królewskiej — te dony hiszpańskie i portugalskie, co się nad sam majestat wynoszą.

— Nikt się tu nie wynosi nad równość... — rzekł młody Tęczyński — byleby posłowie byli, którzyby, gardząc prywatą, dobru publicznemu zaradzić umieli...“

Tu znów spór żwawy między jednostkami, na temat, co to dobro publiczne i czy zawsze ono musi się zgadzać z dobrem króla, przyczem Samuel Zebrzydowski zaczepia sprawę małżeństwa.

„Jeszcze nie skończył, a już *tłum* drobnej szlachty ze skrzydeł kościoła, z pod chóru, *do ogłuszenia wrzeszczeć począł:* precz z tą Litwinką, odesłać ją do Litwy...“. Zamojski protestuje, na co stary wojewoda poczyna się zżymać, „co postrzegłszy *przedniejsi jego rębacze porwali się do szabel* i już posuwali do Zamojskiego“, kiedy za towarzyszem ujął się młody Tęczyński.

„Na takich sporach i krzykach zeszło kilka godzin..., już przychodziło do krwi rozlania“, gdy Stańczyk „wskoczył na poboczny ołtarz“ i wystąpił z mową, która miała trafić do rozsądku braci szlachty. Treścią jej: nie w tem rzecz, kogo król pojął za żonę, ale w tem, czy uchwalicie pobór, by bronić granic.

„Tu hałas i krzyk niezmierny nie dozwolił Stańczykowi mówić dalej.

— Niech nas tu trefnisie nie uczą rozumu — odezwało się *kilku.*

— Tem gorzej dla was — odparł Stańczyk — gdy go tak mało w głowach waszych, że go wam aż trefniś przypominać musi.

— Ściągnijmy go z ołtarza — *wołali zewsząd* — rozniesiemy go na szablach“ itd.

„Nadaremnie Kmita, wojewoda krakowski, *dzwonił i stukał,* chcąc spokojność przywrócić: *jak w czasie gwałtownego pożaru, lub w mieście szturmem wziętem, przytłumione zapalczywego gminu głosy słyszeć się dawały*“.

Zgiełk trwał jeszcze przez czas dłuższy, kiedy znów Stańczyk, tym razem „przeraźliwszym głosem“ uprosił sobie posłuchanie. Obecnie jednak nie wywołał już oburzenia, lecz trafił do przekonania szlachty, mianowicie słowami: „Idźcie jeść i pić, a ja salwuję sesyę na jutro“. Tłumy zanoszą się od śmiechów (co prawda czytelnik powodu nie widzi), gniew w nich nagle ostyga, wszystko idzie bankietować.

Scena powyższa nie jest odbiciem zbiorowych scen WScottowskich, o ile te występują w swej najbardziej charakterystycznej postaci, ale pomyślana jest na sposób WScottowski i zawiera znamienne motywy, spotykane wielokrotnie w romansach autora „Waverleya“. [1])

Jest to zatem znów *rada.* W radzie tej wyodrębnia się masa i jednostki, obok masy zaś także mniejsze grupy (nomenklatura masy: mnóstwo, tłum; grup: kilka głosów, kilku, przyjaciele Tę-

[1]) Porówn. PT—WSc 82 n.

czyńskiego...). W radzie wyróżniają się wyraziście dwie partye (królewska i przeciwna jej). W dyskusyi odbiega się od przedmiotu, dochodzi do starć, które trzeba łagodzić. Nie brak także medyatora, którego głos działa na zebranych, tak że za tym głosem pójść gotowi. Przedstawienie rzeczy jest nie epiczne, lecz *dramatyczne,* z ciągłem przerywaniem, wpadaniem w słowa mowców. Nastrój podniecony, namiętny — uczestnicy rady biorą się kilkakrotnie do szabel, pod koniec jednak, dzięki ostatniemu mowcy, nastaje zgoda. Masa daje znać o sobie szmerem, wrzaskiem, przytłumionymi głosami zapalczywego gniewu, czasem słyszymy, co woła („precz z tą Litwinką"), odezwania się zaś mniejszych grup oddane są wprost (dramatycznie), nie za pośrednictwem omówienia.

Brak natomiast tego, co jest stale u Scotta t. j. dłuższych także przemów przedstawicieli obu stron, z racyami, z argumentami, brak zróżniczkowania perorujących na postaci ważne i mniej ważne, brak wreszcie kreacyi, która powagą swą góruje nad wszystkimi uczestnikami rady. Stańczyk zaś objął aż trzy role: i wyższej racyi, szerszego spojrzenia i medyatora i figury, która w tok obrad ma wnieść żywioł wesołości. Dlatego też jest to w scenie sejmiku postać nieudała.

Mimoto trudno nie zgodzić się, że sejmik proszowicki jest pierwszą i jeśli nie na długie lata, to na lat kilka (do „Pana Tadeusza") najlepszą u nas sceną zbiorową przez iluzyę ruchu i gwaru [1]) — dzięki naśladowaniu, choć w ograniczonej mierze, wzorów WScottowskich. Że duch obrad i tło, to raczej odzwierciedlenie stosunków z doby „Powrotu posła", niż z wieku XVII., to oczywista jasne.

Inne (bardzo nieliczne) sceny zbiorowe w „Janie z Tęczyna" zawodzą. Próbą realizmu miał być spór pani syndykowej, panny Wierzynkówny, państwa Bławackich, pana Snopkowskiego i Sklepkowskiego (nazwiska mówią o zawodzie, jak to bywa — bardzo rzadko jednak — i u WScotta, za wzorem poprzedników). Scott lubił kreślić takie spory, ale u niego jest wówczas realizm istotnie świetny, dyalog żywy, czytelnikowi zdaje się, że czyta jakąś scenę z komedyi. [2]) Tu tempo dyalogu jest równie szybkie, ale gdy

---

[1]) W. Borowy. I. Chodźko. Prace histor.-literackie. Kraków, 1914, w Przypiskach i ekskursach.

[2]) Porówn. dla przykładu w „H. of M.": „This word in explanation has been thrown in to the reader, while Saddletree was laying

państwo Bławaccy bronią handlu, pan Snopkowski roli, a pan Sklepkowski chciałby pogodzić obie strony, piętno realizmu zaciera się od razu, jednostki nie wnoszą z sobą nic charakterystycznego, są tylko wyobrazicielami pewnych sfer interesów. I nic to nie pomoże, że pani Bławacka jest „nieco tłusta“, a pan Bławacki „zakręca wąsa“, czytelnik ich nie widzi, a intencyę autora nakreślenia rodzajowego obrazka humorystycznego musi uznać tylko za intencyę.

Do scen zbiorowych należałoby też zaliczyć obrazy z życia wojennego i malowidła bitew.

U WScotta obrazy te, kreślone po części na modłę techniki Homerowej, ale z odchyleniami, należą do partyi pod względem wyrazistości i wartości emocyonalnej do świetniejszych. [1]) Prawie zawsze widzimy plan bitwy, czasem zmieniający się nawet kilkakrotnie, oglądamy ruchy masy, ataki i przeciwataki, zmagania się, bohaterskie czyny jednostek, słyszymy głosy, okrzyki, słowem doznajemy tego złudzenia, jakie autor chciał wywołać. Spojrzyjmy na epizod wzajemnych zmagań się mas w „A Legend of Montrose“:

> Zapasy, które teraz nastąpiły, były rozpaczliwe, a *szczęk mieczów i toporów*, które uderzały o siebie lub o tarcze, *mie-*

---

down, with great precision, the law upon Porteous's case, by which he arrived at this conclusion, that, if Porteous had fired five minutes sooner, before Wilson was cut down, he would have been *versans in licito;* engaged, that is, in a lawful act, and only liable to be punished *propter excessum*, or for lack of discretion, which might have mitigated the punishment to *poena ordinaria.*

— Discretion! — echoed Mrs. Howden... — whan had Jock Porteous either grace, discretion, or gude manners? Imind when his father...

— But, Mrs. Howden — said Saddletree.

— And I — said Miss Damahoy — mind when his mother...

— Miss Damahoy — entreated the interrupted orator...

— And I — said Plumdamas — mind when his wife...

— Mr. Plumdamas, Mrs. Howden, Miss Damahoy — again implored the orator — mind the distinction, as Counsellof says — „I“, says he, „take a distinction“. Now, the body of the criminal being cut down, and the execution ended, Porteous was no longer official; the act which he came to protect and guard, being done and ended, he was no better than *cuivis ex populo.*

— *Quivis, quivis,* Mr Saddletree, craving your pardon — said (with a prolonged emphasis on the first syllable) Mr. Butler, the deputy schoolmaster....“ itd. (wyd. lipsk. z r. 1858, I. 56).

[1]) Porówn. PT — WSc. 91 n.

szał się z krótkimi, dzikimi, przeraźliwymi okrzykami, jakie górale zwykli byli wydawać przy wszelkich żywszych ruchach, czy to w walce czy przy tańcu. Wielu walczących z sobą nieprzyjaciół znało się osobiście i ci starali się *przewyższyć nawzajem w waleczności* czy to z nienawiści czy z bohaterstwa. Żadna z przeciwnych stron *nie chciała ustąpić ani o cal,* a miejsce poległych (bo po obu stronach straty były poważne) *zajmowali natychmiast* nowi wojownicy, którzy *spieszyli* na stanowiska najbardziej zagrożone. Opar, jak ten, który unosi się z wrzącego kotła, rozszerzał się w rzadkiem zimnem powietrzu i falował nad walczącymi.“ (XIX.).

Jest to jeden z opisów krótszych, w szczegółach nierozwinięty, ale nie pozbawiony plastyki. Niemcewicz w „Janie z Tęczyna“ nie pokusił się ani razu o rozsnucie całości obrazu już nie w stylu bitwy z „Old Mortality“ lub z „Waverleya“, ale nawet nie zbliżył się do tego typu obrazów, jak powyższy, przykładowo nawiedziony. O napadzie Tatarów opowiada kobieta (115 n.) — od niej więc plastyki nie żądajmy. Zapamiętała zresztą jeden tylko znamienny szczegół, jako barbarzyńcy „rozdzieliwszy się na małe hufce, szerokim niedaleko siebie postępując okręgiem, zabierali, kogo spotkali“. Hetman Tarnowski zaś w swej opowieści o napadzie na plastykę wcale się nie sili.

Ale gdy i sam autor głos zabiera, przedstawia rzecz tak migawkowo, z takim pośpiechem, jak gdyby obrazy batalistyczne zupełnie lekceważył, nie wychodząc poza to, co dał w „Śpiewach historycznych“. Bo jakże wygląda pierwsza walka z Tatarami? Don Alondzo Ferdinandes spotyka hufiec Tatarów, którzy „starają się go ze wszystkich stron otoczyć“. A dalej: „Krzyk walczących wokoło daje znać, że i towarzysze Hiszpana w podobnym znajdują się razie. Jak błyskawica miga oręż rycerzów, padają pod nim Bisurmanie, okropne zionąc przekleństwa. Trwa krwawa walka blisko godziny...“

Tyle!

A drugi w romansie obraz walki. Tatarzy „napadnięci niespodzianie... więcej o ucieczce niż o obronie myśleli. Już wojsko polskie ze wszech stron naciera, Tatarzy biorą się do koni, słudzy Hana z niemałą trudnością wsadzają go na bachmata...“ „Opierają się jednak Tatarzy, gdy hoża kobieta w zbroi... wpada na czele gęsto zbitego hufcu kozaków...“. Kiedy i don Ferdinandes uderzył na nich z boku, „niedługo dotrzymali pola, niedługo gonili ich

Polacy...". Zarysowywa się tu wprawdzie jakiś surogat improwizowanego planu bitwy, ale sam akt walki i jej wartość obrazowa skupia się i streszcza w słowach: wojsko *naciera*, Tatarzy *opierają się*, kobieta w zbroi *wpada*, don Ferdinandes *uderzył*, niedługo *dotrzymali pola*... Czyli obrazowości brak, bo pod wyraz musi za każdym razem podkładać obraz dopiero wyobraźnia czytelnika.

Przychodzi na myśl w tym samym roku wydana Malczewskiego „Marya"....

Jak jest u Bernatowicza? A najpierw, jak przedstawia się w „Pojacie" sprawa „drugiej sfery". Otóż nie można powiedzieć, by powieściopisarz o niej nie pomyślał, owszem, żywił on ambicyę uczynienia zadość także temu postulatowi, wysnutemu teoretycznie z lektury romansów WScotta. Właściwie można mówić u niego o więcej niż dwu skupieniach obyczajowych, bo Polsce przeciwstawiona w romansie Litwa, a w obrazie społeczeństwa polskiego i litewskiego wyodrębniają się znów poszczególne grupy, w Polsce: magnaci (Habdank) i szlachta średnia, na Litwie: dwór książęcy, kapłani, mieszczanie, lud.[1]) Czy jednak zdołał Bernatowicz istotnie odtworzyć obraz tych różnych warstw tak, by uwydatniły się w owym obrazie cechy odrębnego środowiska, odrębnego widnokręgu pojęciowego, odrębnej obyczajowości? Habdank nie jest jednym z tych WScottowskich „baronów z nizin", których kulturę, cnoty dziedziczne, stosunek do sfer innych moglibyśmy poznać wszechstronnie — na tle otoczenia[2]) (Niemcewicz bardziej zbliżył się do realizacyi tego zadania, kreśląc postać wojewody); szlachtę średnią wyodrębnił zaś wprawdzie Bernatowicz, ale zwracając raczej uwagę na jej temperament — na jeden rys tego temperamentu — niż na jej właściwości stanowe, na obyczaj szlachecki. O kapłanach i ofiarnikach nie wiele czytelnik potrafi powiedzieć; środowisko to daje nam się poznać raczej z intryg jednostek, niż z jakichś specyficznych cech kastowych. Grupa wieśniaków (III. 54 n) jest tak

[1]) Obóz krzyżacki traktował B. jako obóz wrogi, nie jako odrębne środowisko obyczajowe. Tylko w scenie u „kredencerza" miał, jak się zdaje, zamiar stworzyć obrazek rodzajowy na tle gawęd i rozpraw *żołnierskich*. Zwrócił na to uwagę M. Grabowski (op. c. II. 33).

[2]) Dyalog na dworze Habdanka, w którym bierze udział sam gospodarz, wojewoda Firlej, biskup, panowie i panie (I. 150 n), ma na celu odtworzenie sposobem WScottowskim (a więc właśnie dyalogowym) obrazu ówczesnych stosunków w związku z zagadnieniem, kogo ma Jadwiga wybrać na męża, i poinformowanie o tem, że poselstwo krzyżackie „pono się skończyło na niczem", a nie scharakteryzowanie środowiska wielkopańskiego.

blada, że zupełnie się o jej istnieniu w powieści zapomina, a toż samo trzeba powtórzyć o grupie mieszczan (III. 105 n).

Na tle owych skupień, mniej lub więcej wyrazistych, rysują się sceny zbiorowe. Żywą, udatną, mamy jednak w „Pojacie“ jedną tylko — scenę w gospodzie (według WScotta jest to przywilej powieściopisarza, iż może wprowadzać osoby romansu do gospody). Zachował w niej Bernatowicz technikę WScottowską o tyle, że przy pomocy wypróbowanych środków starał się wywołać wrażenie masy i gwaru (mniej ruchu). Zrazu dyalog między Dowojną a Stogniewem, ale wnet wtrąca się „inny“, potem jeszcze „inny“ już „woła“ i rzuca próżnym kuflem o ziemię, wnet: „wiwat Ziemowit, król polski, *zawołali wszyscy, podnosząc czapki do góry*“, poczem przychodzi do sporu i pojedynku (przerwanego). Przypomina się nietylko inscenizacya w „Old Mortality“ podobnej sceny zbiorowej, również w gospodzie, ale nawet nie brak szczegółu analogicznego. W „Old Mort“. Bothwell drażni nieznanego gościa (Johna Balfoura), każe mu pić zdrowie króla, potem arcybiskupa, a kiedy ten ani myśli o tem, dochodzi między nimi do bójki, tu zaś Stogniew każe pić Dowojnie zdrowie Jadwigi („Zuchwały! pij, albo się bij“), a gdy ten odpowiada „Bić się zgoda, ale pić nie myślę“, rzuca mu rękawicę żelazną pod nogi.

O nakreślenie obrazu „rady“ Bernatowicz się nie pokusił, wszystkie zaś inne, poza wspomnianą właśnie, sceny zbiorowe w „Pojacie“ nie są niczem innem jak dyalogami, rozłożonymi na większą ilość osób; złudzenia masy nie dają. Odnosi się to także do sceny żołnierskiej u „kredencerza“.

Natomiast w obrazach starć orężnych widać usilność zbliżenia się do wzoru. Prawda, że Bernatowicz myśli głównie o przestrzeganiu jednej właściwości techniki WScotta: o tem, by czytelnik gruntownie mógł się zoryentować *w planie*. To jego troska i w tem jego ambicya. Wydatnie występuje ten rys w obrazie oblężenia wileńskiego zamku (II. 54 n), do czego zresztą autor miał wzór gotowy w „Ivanhoem“. Ale wzoru tego nie naśladował w szczegółach, dbając tylko o naczelną zasadę.

Więc: Jagiełło widzi w oddali „pędem posuwający się obłok kurzu“ — to nieprzyjaciel. Uderzono w trąby — załoga wprawdzie szczupła (jak w „Ivanhoem“), ale zamku książę nie podda. I zaraz plan: Wojdyło bronić będzie zamku górnego, sam Jagiełło dolnego, a reszty żołnierza, który mu pozostanie, użyje na wzmocnienie straży bramy i „rozciągnienie linii naprzeciw zamku“. Ale nieprzyjaciel „jak wicher niewstrzymany“ — drugie i ostatnie w ca-

łym opisie obrazowe wyrażenie — uderza w bramę, łamie straż, pędzi na zamek. Wtedy „wylatują z różnych stron miasta rzemieślniki mniemane“ i postępują na zamek górny. Kiejstut staje na czele i bierze twierdzę fortelem wojennym, odwracając udanym atakiem uwagę Wojdyły. Lecz Jagiełło broni się jeszcze, walczy osobiście — dopóki nie pada „bez siły śród trupów“.

Jak widzimy, cała wartość opisu zdobywania zamku polega na jasno zarysowującym się planie. Gdy w „Ivanhoem“ słyszymy (bo z tego, co widzi, natychmiast zdaje sprawę Wilfredowi Rebeka), gdy słyszymy o strzelaninie łuczników, szturmie, obronie, o czynach bohaterskich czarnego rycerza, jego walce z Front de Boeuf'em, o zdobyciu fortyfikacyi — to możemy o opisie tego szturmu i obrony użyć tylko jednego określenia: wspaniały, w „Pojacie“ opis zmagań się brzmi dosłownie, jak następuje: „pieszy (Jagiełły) żołnierz, trzymając się, ile być może, porządku, mieczem i strzałą ranił jazdę napastnika; lecz wkrótce przebity środek zastępu rozdzielił się na dwie części, które nie mogły już sobie pomagać... Bił Żmudzin kordem i przeszywał spisą rozproszone żołnierstwo, które niemniej jednak walecznie się broniło... Strzały z kusz i pociski ogniste, któremi gęsto siał z wałów Wojdyło, spychały z góry na głowę ranne żołnierstwo... Tymczasem Kiejstut z doborem walecznych postępował pod bramę... Bronił z rozpaczą Wojdyło przystępu, odpierał mężnie lud, ślepo się w bramę tłoczący, lecz wkrótce musiał przed natarczywością ustąpić...“

A teraz dla porównania jeden z epizodów szturmu do zamku w „Iwanhoem“. Rebeka patrzy na to, co się dzieje, i zaraz zdaje sprawę:

„Widzę go teraz (czarnego rycerza) — wiedzie swój oddział tuż pod żelazne obwarowania zewnętrznych fortyfikacyi (he leads a body of men close under the outer barrier of the barbican). Wyrywają koły i palisady — walą obwarowania siekierami na ziemię! — Jego wysoka czarna ozdoba hełmowa unosi się nad masą ludzką, jak kruk nad polem śmierci! — Ha! zrobili w obwarowaniu wyłom — wpadają do wnętrza. — Nie, odrzucono ich! Front de Boeuf stoi na czele obrońców, jego postać olbrzymia góruje nad wszystkimi. Teraz napierają znów na wyłom — walczą o przejście, ramię przeciw ramieniowi, mąż przeciw mężowi (hand to hand, and man to man)...

Odwróciła głowę od okna, jakby nie mogła znieść dłużej straszliwego widoku...“

Ale na prośby gorące Iwanhoego patrzy znów i woła: „O procy Zakonu! Front de Boeuf i czarny rycerz walczą z sobą w wyłomie — mąż przeciw mężowi — wśród gwałtownych okrzyków ich wasali i głośnych wołań ich przyjaciół. Niech niebo wspiera uciśnionych i jęczących w niewoli.

Nagle Rebeka krzyknęła głośno i zawołała: Ach, padł, padł...

— Kto padł? — zakrzyknął Iwanhoe — na naszą Pannę Najświętszą zaklinam cię, mów, kto padł?

— Czarny rycerz — odrzekła słabym głosem Rebeka, lecz za chwilę zawołała z pośpiechem radości: Nie jednak, nie! — niech będzie pochwalone imię Pańskie, oto wstaje znów i walczy..." (XXIX).

Prawda, że WScott posłużył się w tym wypadku sposobem doraźnych relacyi świadka, gdzie łatwiej o wydobycie żywiołu suggestywnego (naśladował go w tem kilkakrotnie i przewyższył Sienkiewicz w Trylogii), ale i tam, gdzie opisy bitew pochodzą wprost od autora, Scott objawia zdolność plastyczną niepoślednią [1]) —

[1]) Porówn. w „Old. Mort." XVI.: „Clavershouse saw his nephew fall. He turned his eye on Evandale, while a transitory glance of indescribable emotion disturbed, for a second's space, the serenity of his features, and briefly said: You see the event.

I will avenge him, or die! exclaimed Evandale; and, putting his horse into motion, rode furiously down the hill, followed by his own troop, and that of the deceased Cornet, which broke down without orders; and, each striving to be the foremost to revenge their young officer, their ranks soon fell into confusion. These forces formed the first line of the royalists. It was in vain that Claverhouse exclaimed: Halt! halt! this rashness will undo us. It was all that he could accomplissh, by galloping along the second line, entreating commanding, and even menacing the men with his sword, that he could restrain them from following an example se contagious..."

Tymczasem to, czego lękał się Claverhouse, stało się istotnie. Jeźdźcy, którzy pod wodzą lorda Ewandala ruszyli na nieprzyjaciela, nie mogli dotrzeć z powodu, iż natrafili na przeszkody nieoczekiwane. Jedni ugrzęźli w trzęsawiskach, inni nie dali się skusić i pozostali na brzegu, jeszcze inni rozprószyli się, by szukać bezpieczniejszego przejścia przez moczary.

„In the midst of this confusion, the first line of the enemy, of which the foremost rank knelt, the second stooped, and the third stood upright, poured in a close and destructive fire that emptied at least a scorre of saddles, and increased tenfold the disorder into which the horsemen had fallen..." i t. d. Poczem zamęt wojenny, poczem epickie, w stylu klasycznym, czyny jednostek.

u Bernatowicza można mówić tylko o chwalebnych usiłowaniach, uwieńczonych wynikiem mniej lub więcej pomyślnym.

Tak w obrazie bitwy między Hamilonem a przednią strażą krzyżacką (III. 158 n.) znów zajmuje autora głównie plan bitwy, a jeszcze więcej rozłożenie jej jakby na poszczególne momenty: a) Hamilon uderza na rabujących Krzyżaków, wspierają go mieszczanie, b) Krzyżakom bieży na pomoc hufiec posiłkowy, wobec czego Hamilon „wnet szyk odmienia“, ale gdy stara się wziąć tyły nowemu nieprzyjacielowi, sam zostaje odcięty od swoich i zewsząd otoczony, c) w tej chwili przybywa Hamilonowi na czele jazdy z pomocą Aksena, rozdwaja siłę wroga, tak że ten musi myśleć więcej o obronie niż o zwycięstwie, d) na najezdników rzucają się „hurmem“ mieszczanie, Krzyżacy uchodzą bezładnie, ścigani, bez bitwy.

Obrazów plastycznych brak, ale przebieg walki rysuje się wyraziście.

Natomiast kreśląc bitwę Krzyżaków pod wodzą Sundsteina z zastępami polskimi, prowadzonymi przez Zawiszę Czarnego, użył Bernatowicz wszystkich środków artystycznych, jakimi rozporządzał, a jakich mu dostarczyła prócz Scotta także lektura Tassa i Grażyny, by nietylko plan walki i jej poszczególne momenty czytelnikowi unaocznić, ale również oddać rzecz z plastyką i z pewnem poetycznem zabarwieniem.

Szczęśliwe, poetyczne jest wprowadzenie: Wiosna, obóz leżący u stóp góry, Komtur spoczywa pod namiotem. Nagle o świcie słyszy w puszczy głos, rozchodzący się daleko — „góry i doliny, wśród powszechnej ciszy... czasem nagle nim uderzyły, czasem go też gubiły w dalekiej przestrzeni...“. Komtur zrywa się z łoża, gromadzi koło siebie dowódzców, a tymczasem głos ów coraz potężnieje, zda się, całą puszczę napełnia. Do koni — woła przerażony wódz — to jest pieśń Boga-Rodzica Polaków. Rozesłane szpiegi wnet donoszą, że zbliża się potężny zastęp piechoty polskiej, Komtur gorączkowo zbiera swe siły, posyła po jazdę.

To jakby część wstępna.

Teraz autor przechodzi do obrazu walki (kreśląc wprzód przygotowania do niej), przyczem dzieli całość opisu na pięć wyraźnie odróżniających się części. Odtwarzając poszczególne momenty, dba tym razem o oddanie także wrażeń słuchowych, pragnąc podnieść żywość opowiadania, wpada w praesens historicum, używa poetyckich porównań, nie zapomina o barwach. Słowem

pragnie najwidoczniej bitwę tę skreślić z artyzmem, myśli o tem, nie lekceważy sprawy.

A zatem przygotowania ze strony Komtura. Autor opowiada, jak rozciąga on linię bojową, jak góry leżące z tyłu umacnia działami, gdzie ustawia skrzydła...

Wschód słońca, jasne jego promienie, zastępy polskie wynurzają się z lasu i wolno, wciąż z pieśnią na ustach, posuwają się naprzeciw nieprzyjaciela. Na czele ich Zawisza Czarny. „*Złoto i stal,* uderzone rannym słońca promieniem“ błyszczą „w rotach *rozmaitej barwy...*“

„Wrzask“ trąb polskich, Zawisza uderza „w całej rozciągłości“ i stara się przełamać środek linii, gdy to jednak nadaremne, godzi w prawe skrzydło, wskutek czego linia nieprzyjaciela musi „szyk złamać“. I teraz „mord staje się powszechnym i najzaciętszym“, „mąż z mężem zwierał się...“, „*szczęk* broni, *wołania* jeźdźców i *jęki* rannych... *wrzawą* napełniają powietrze...“. Komtur „*jak lew rozjuszony*“ umie się znaleźć wszędzie w jednej chwili, ale żołnierz polski „*jak fala rozhukanego morza* z całą siłą wpiera się w jego szeregi...“

Nagle Polakom poczyna grozić opasanie przez nieprzyjaciela, lewe skrzydło krzyżackie zachodzi im tyły.

Wtedy niespodzianie z różnych części lasu „wybiega“ jazda polska, „zastęp skrzydlaty“, doborem rycerstwa zaszczytny. „Przypięte do ramion *białe* skrzydła *zdały się lotem go unosić, a świst wiatrów niosąc za sobą,* nowym przestrachem raziły nieprzyjaciela“. „Trąbka *wrzaskliwa* w każdej stronie daje się słyszeć...“ Komtur rzuca się „w odmęt lewego skrzydła“, lecz huf polski „*jak skała gruchocząca drobne chruściny,* łamie szeregi, odcina lewe skrzydło i wkrótce tył bierze“. Działa krzyżackie nie donoszą, żołnierz niemiecki myśli już tylko o zachowaniu życia.

Spieszy Krzyżakom na pomoc jazda, ale wnet pogromiona „w niewoli lub śmierci znajduje koniec niewczesnej posługi“. Bitwa przez Sundsteina przegrana.

Ogólny schemat bitwy jest taki sam, jak walki Krzyżactwa z Hamilonem i ten sam jej z artystycznego punktu widzenia niedostatek. Wszystko odbywa się za prędko, czytelnik nie może opanować wrażeń wyobraźnia jego nie może podążyć za zbyt szybko następującemi po sobie scenami, z pędu zdarzeń nie wyodrębnia się żaden epizod, z masy żadna jednostka, albo inaczej: niema tu, jak bywa stale niemal u Homera, Wergilego, Tassa, Scotta, bohaterskich czynów jednostek, na które wzrok czytelnika się przenosi;

ale jest wrażenie jakiegoś przewalającego się zamętu, jest, dzięki językowi, poetyczne tchnienie, jest szczęśliwa próba obrazu bitwy. I jeśli ze słusznością można powiedzieć, że nikt aż do Pana Tadeusza nie dorównał Niemcewiczowi w nakreśleniu sceny zbiorowej „rady“ i że w romansie naszym scena ta przez długie lata błyszczała jako unikat, tak bitwa między zastępami Zawiszy a Sundsteina była znów na lata — także w romansie oczywiście — szczytem w swoim zakresie [1]).

[1]) Może aż Czajkowski zdołał się zdobyć na większą pod pewnym względem plastykę, choć z poważnemi usiłowaniami spotykamy się u Kraszewskiego. Niezmiernie był Czajkowski czuły na wrażenia słuchowe, umiał oddać łomot i jęk, wir bitwy, błyskawiczne ruchy. (Porówn. w „Wernyhorze“: „chłopstwo ruszyło z miejsca, *krzycząc*: kol, siecz wroga. *Huczą* armaty, *palą* rusznice nieprzerwanym taktem, *gwiżdże* ołów, *jęczą* ranni, *stęka* ziemia, *wyje* powietrze... [s. 45]; „spisy *migiem powaliły się* na uszy końskie, konie *w czwał kopnęły* z miejsca, z pod kopyt bryzgi *aż pod niebo poleciały*, ziema *zadrżała*, powietrze zabrzmiało okrzykiem: Sława Bohu...“ [s. 46], itd. wydanie lipskie z r. 1908).

KONSTANTY WOJCIECHOWSKI.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Generałowej

Benigny Kazimierzowej Małachowskiej Pamiętniki.

1830—1870.

(Ciąg dalszy).

3-go Sierpnia 1835 r. Wilia wyjazdu z Vichy; pożegnania, niektóre czułe — u wód znajomości zrobione, więcej od innych pamiętne bywają.

4-go. Matka i córka Gilerman czule nas żegnały. Pierwsza, jak matka opatrzyła nas na drogę: w ciasta, pasztety, pieczywo etc.; możnaby z tą prowizyą pojechać daleko, nawet ambarkować się do Ameryki. Ale to nie dosyć na tem; ściskając mnie na wsiadaniu czule, wsunęła mi któraś do mego koszyczka zawieszonego na ręku pięć Ludwików. Nie spostrzegłam tego, aż dojeżdżając do Clermont; domyśliłam się, że to dzieło dobrych tych ludzi. Nie duma, ale łza wdzięczności spadła na widok tego złota, w trudach zebranego. — Niedobra i niewygodna była to podróż; większą część szliśmy piechotą.

5-go. W hotelu pod Lwem stanęliśmy; z okien naszych, czyli z tarasu zachwycający widok — taki jeszcze nigdy się oczom moim nie przedstawił. Tu dopiero myśl człowieka unosi się daleko! Wieczór też wczorajszy i dzisiejszy zeszedł mi na przypatrywaniu się tej pięknej naturze: przed memi oczami przedstawia się ogromna góra, zwana Puy-de-Dôme; chęć bierze wejść aż tam. Tymczasem przyniesiono kawę; zwyczajem moim zapytałam się, czy nie znają Polaków. — „Dwóch tu przychodzi jadać“ — rzekła słu-

żąca domowa. — „Bądź łaskawa poproś, aby się z nami widzieli, jesteśmy rodacy“. — Po kawie, udaliśmy się zwiedzać miasto: katedra, w której przednia część wielkiego ołtarza jest stary sarkofag. Kościół ten, jakoteż i wszystkie inne budynki tego miasta, są po większej części z lawy stawiane. W pobliskości mineralne źródło — grunt całej okolicy jest wulkaniczny i nastręcza wiele osobliwości. W położeniu ślicznem stoi to miasto; spacery liczne. Powróciliśmy do naszego mieszkania zmęczeni długiem chodzeniem, upał wielki był. — Ale tu dobrze, chłodno, żaluzye pozamykane — zabraliśmy się więc do wypoczynku. Wtem do drzwi zapukano; otwieram: przystojny człowiek, porządnie ubrany, zapytał, czy tu stoi dama, która życzyła sobie go widzieć (pytanie to było po francusku). — „Tu stoją, odrzekłam, rodacy pana — po polsku — którzy przybywszy tu na dni parę, radziby poznać swoich“. — „A, to pani Polka — donośnym zawołał głosem — o, już lat wiele nie słyszałem głosu Polki — i mąż także Polak?“ — „Tak jest.“ — „Państwo wojażują?“ — „My się tułamy po świecie tak jak pan, emigranci. Ale proszę siadać!“ — „Na chwilę — rzekł, — bo się śpieszę do biura, pracuję w prefekturze. Zobaczymy się na obiedzie. Państwo tu jeść będą?“ — „Zobaczymy się jeszcze nieraz, odpowiedzieliśmy, a teraz niech pan spieszy, nie zatrzymujemy“. — „A kolega — rzekł do męża, — z którego pułku?“ — „Z trzeciej dywizyi“, odpowiedział mąż. — „A ja byłem adjutantem przy generale Różyckim“. — „A to nie dziw, żeśmy się nie znali.“ — „Czy nie zna pan Engelharda“, zapytałam. — „Nie znam, ale mogę go poszukać“. Ubawiła nas ta rozmowa. Wypocząwszy, rozpoczęliśmy nowe kursa. Clermont przedstawia w tej chwili widok zniszczenia; ulice zasypane szkłem i dachówką, potłuczonemi od burzy gradu; żadnego okna niema całego, ani dachu. Na dolinach pozalewała domy, ludzi potopiła, ogrody i zasiewy poniszczyła. Piękny, ale niebezpieczny tu kraj. Około godziny 5-tej powróciliśmy; nasz rodak przybrany jak w dzień wesela, czekał na nas z panem Engelhard. — „Ah, przepraszam“, krzyczał z daleka. — „Zostań pan tak jak byłeś dziś rano z nami, to będzie bardzo dobrze.“ — „Już czas na obiad, wejdziemy do sali“; był on już w tym domu, tak jak gospodarzem — rad nam był bardzo u stołu, któren się zakończył dobrem winem, wiwatami etc. „Już jestem dla państwa na cały czas; wziąłem pozwolenie na dni trzy i jeżeli pozwolicie, nie odstąpię Was“. — „I ja także, przerwał drugi, powiedziałem memu majstrowi siodlarzowi, żeby nic nie rachował na moją robotę przez dni trzy“. — Jakże się nie cieszyć i nie

być wdzięczną na takie oświadczenia? Udaliśmy się na promenadę, gdzie grała muzyka wojskowa; dużo Polaków tam znaleźliśmy — jednego z żoną Francuzką — chodziliśmy wszyscy razem do późnej nocy, nawet ci, co się nigdy nie zbliżyli do siebie. Nawiedziliśmy dom Polaka ożenionego; miła, dobra jakaś kobiecina; poczęstowali nas wszystkich (było dwudziestu kilku) wodą z cukrem — zimna, dobra była. Odprowadzili nas jeszcze do domu, a koło północy dopiero do spoczynku udaliśmy się, mając rendez-vous na godzinę 3-cią z rana.

6-go. 3-cia biła, gdyśmy zeszli na dół. Kawa i naszych dwóch rodaków czekało już na nas. Wypiwszy szybko kawę, siedliśmy do małego wózka — jeden z nich był woźnicą i wiózł doskonale. Dwie godziny, zawsze jadąc pod górę, dojechaliśmy do stóp góry Puy-de-Dome. W karczmie został ekwipaż. a my dalej iść poczęli pieszo, opatrzywszy się w butelkę wina i ciepłe okrycie. Droga prowadząca do szczytu góry nie jest żadna; poprzednia burza popsuła, poprzerywała wiele miejsc i uczyniła je trudne do przebycia. Piasek, kamienie, tak się łatwo usuwają pod nogami, że łatwo jest usunąć się i nie wiem, jak szybko stoczyć się z góry — to też tam tylko ludzie z dobremi nogami iść mogą. — Dziewczynka 13-letnia, która nam za przewodniczkę służyła, w sabotach bardzo zręcznie drapała się w górę i strach mi wielki robiła; więcej o nią, jak o siebie lękałam się. — Męża w pół góry zostawiliśmy i tak już do znacznej wysokości doszedł. Im wyżej wchodzi się, tem trudniejsza i przykra ta podróż; u samego wierzchołka prawie prostopadle wchodzi się. Lubo dzień był gorący, bardzo tam zimno mocne czuć się dało. Na samym wierzchołku kawałek płaszczyzny, kilka drzewek, niezbyt bujnych, — dziwna rzecz — krowa tam się pasła; jak tam weszła i do kogo należała, nie było się można dowiedzieć. — Napiliśmy się tam wina, spojrzeli na różne strony — gubi się wzrok w objektach bardzo dalekich: wsie, miasta bardzo odległe widzieć możnaby było, ale mgła nie dozwoliła dnia tego. Wielki nierozsądek, pomyślałam, zapuszczać się tak daleko, tak wysoko, ale już nie było rady; wracać potrzeba i spiesznie nawet, bo ciemno, mglisto. — Ani sposobu zejść, tak jak się weszło; potrzeba było niektóre miejsca bardzo komicznie przebywać: położyć się twarzą do ziemi i tak się powoli, na dół zsuwać. Dostawszy się do miejsca, gdzie już śmielej iść można było, lubo jeszcze nie bez zawrotu głowy, uradowana byłam, a szczęśliw[illegible] zupełnie, gdy drogiego mi męża za rękę pochwyciłam. Wesoło szliśmy na dół, tak, jak ludzie, kiedy niebezpieczeńst[illegible] [illegible]

przebędą bez smutnego jakiego wypadku. Myślałam sobie jednak, że drugi raz tyle ciekawą być nie zechcę. Po obiedzie i małym wypoczynku, zwiedziliśmy za miastem petryfikacye; krowa, człowiek i różne owoce i frukta są do nabycia dla cudzoziemców; wszystko doskonale spetryfikowane, szczególnie owoce wszelkie.

7-go. Pożegnani czule od wielu rodaków, w dalszą puściliśmy się podróż. W Moulins zatrzymać się potrzeba było dzień jeden i ten mile ze swymi przepędziliśmy.

8-go. W nocy siedliśmy do dyliżansu. Jechaliśmy tak spiesznie, że 9-go rano ledwie było tyle czasu napić się kawy w Nevers i tam powitani od kilku znajomych ziomków, nie wiele zostawiono nam czasu pomówić z nimi. Leciał dzień cały jak szalony, nie zatrzymał się nigdzie, nie jedząc tedy, ani pijąc 24 godzin.

10-go. Na godzinę 11-tą z rana zajechaliśmy do Fontenaibleau.

11-go. Nie spodziewali nas się już tu z powrotem; tem większe było ukontentowanie braci naszych, że do zakładu ich wracamy. Czas zbliża ludzi do siebie. — Ten sam czas przekonał ich, że nie nosząc żadnej cechy wyznania wiary politycznej, można te same wyznawać zasady i niemniej pragnąć Polski wolnej i niepodległej.

12-go. Już do dawnego nie mogliśmy wrócić mieszkania; inne, mniej dogodne dziś mamy, ale i tu dobrze być powinno. Wszystko nas tu czule wita; dziś na targu miłe miałam tego dowody. O wiele jest niedola człowieka znośniejszą, kiedy przychylnych sobie widzi.

18-go. Troche nudna ta moja nowa gospodyni.

19-go. List od siostry. Osłupiałam na wyrazy wyczytane w nim: „Nie pisz mi nic, bo ja wiedzieć nie chcę, co się u Was dzieje, prócz zdrowia Twego i męża; powtarzam, nie pisz nic więcej“. — Otóż jest twoje dzieło, tyranie; chcesz wszelkie stłumić uczucia, porwać stosunki familijne. Ulegnę tu, bo nie chcę mej dobrej jedynej siostry wystawiać na twoją zemstę. Nie dziwiłam się ani zastanawiałam nad tem, kiedy mi napisała: „Niczem nie dysponuj, nie rozrządzaj, bo wszystko coś tu zostawiła, już do Ciebie nie należy“. To zrozumiałam dobrze i żadnego nie czułam żalu. Ale kiedy widzę, że tak silnie wpływ swój wywiera na moralne i familijne uczucia, to nie można, jak zapłakać.

20-go. Mąż mi robi piękny deseń, alegoryczny. Kiedy Mikołaj nie chce, abyśmy pisali, co się tu i jak dzieje, to potrzeba nieme, ale mówiące robić obrazy.

26-go. Co to za nowiny z Paryża. Powtarzam tu słowa listu dziś odebranego: „Pani B. porzuciła męża. J. D. żeni się z cudzoziemką; ani wiek, ani dorosłe dzieci, ani żadna inna myśl nie stanęła mu na uwadze. Piękny przykład! Krzyczą na młodych, a przebaczają błędy starym, etc. etc. — Co też ta S. tu dokazuje, Co to za matka!“ — Smutno czytać takie doniesienia.

1-go Września 1835 r. Dwóch naszych, ledwie po lat 20 liczących, poległo w pojedynku. Tak marnie krwią polską szafują.

30-go. Znowu strata. Generał Pac umarł w Smyrnie; córka jego w Rzymie, w klasztorze.

3-go Października 1835 r. Donoszą, że Generałowa Sowińska zamknięta w klasztorze za korespondencyę z Emigracyą. Kilkomiesięczne jej milczenie utwierdza mnie w tem. Co to za wielka strata dla nas; ona jeszcze jedna śmiało swe myśli i uczucia przelewała na papier, ona wszystko od nas wiedzieć żądała. Padła, biedna, ofiarą swej gorliwości; strata wielka dla Towarzystwa. dla ludzkości, ale chlubna zaleta dla dobrej Polki. Tem lepiej, że Mikołaj lękać się poczyna i nas słabych kobiet. — Potrzebaby, aby więcej naszych kobiet uczuciem i poświęceniem się Gen. Sowińskiej było zachęconych. Ale smutno jest tu wyznać, że mało liczymy takich. Smutniej jeszcze, że takie szlachetne uczucia egzaltacyą nazywają.

10-go. Dziś rocznica naszego ślubu — przeżyliśmy z sobą ćwierć wieku, szczęśliwie, co do pożycia naszego. Nie można żalić się na to, co los przykrego napotykać daje — to jest ogólna, powszechna zgryzota. My szczęśliwsi od wielu innych, bo staramy się oboje nawzajem słodzić sobie przykre chwile i spokojnie poddaliśmy się wszelkim kolejom życia. Da Bóg może, że kiedyś będzie lepiej. Alboż dziękować Opatrzności nie mam obowiązku, że mi dozwoliła dzielić los Męża. O, chwała Ci, Przedwieczny! Dziś, na pamiątkę, zaczęłam szyć alegoryę układu Męża: deseń i myśl układu jego, ja tylko na kanwę przeniosę. Myśl jest taka: na ruinach i grobach zebrani Polacy nadają wolność włościanom swoim, pokazując im 3 słupy graniczne, na których orły: rossyjski, austryacki i pruski. Te wywrócić potrzeba, odzyskać wolność etc. Sprzysięgają się na to wszyscy i uzbrajają w kosy, piki, siekiery, co kto ma i może. Niebo się chmurzy; furja pokazuje się w obłokach i rzuca pioruny. Ubiory polskie, prowincyonalne.

15-go. Mąż mi trocha słaby; to największa zgryzota dla mnie. Bóg dobry, w Nim nadzieja; On go zachowa dla mnie, dla Ojczyzny.

30-go. Należy się tu wspomnieć o dobroczynnych postępkach Klaudyi. Ona mieszka w Szwajcaryi — koresponduje ciągle ze mną; poleciła mi, abym jej o każdym biednym albo chorym bracie donosiła. Nie brakuje do tego zręczności; chorych i biednych dużo jest pomiędzy nami. Ci, co sami domagają się o wsparcie, zostawiamy na tej drodze, którą łatwo trafić czy to Towarzystwa Dam Paryskich, czy do Komisyi funduszów Emigracyi. Ale są biedni, których wyszukiwać potrzeba, którzy nie są łatwi do przyjęcia: jest to duma narodowa, której naganiać trudno, ale potrzeba szukać sposobów, żeby nie obrazić tego delikatnego uczucia. W tym roku tedy z dobroczynności Klaudyi pojechali do wód Pan Z.[1] do Baréges, chory na oczy, Pan W. do Baréges, chory z ran — obydwa mieli po 400 fr. Słaby na piersi dostał 300 fr.; Pani N. 200 fr. na połóg; Pani K. 200 fr. do wód do Vichy. — Zacny bardzo rodak kaleka 200 fr. na ubranie się. Nakoniec zakład Clermont żądał od Towarzystwa Dam 300 fr. na kuracyę jednego z ich zakładu, któremu śmierć bliską była. Nie mogąc otrzymać tej pomocy przez szanowne staranie Pani Hoffman u Towarzystwa Dam Polskich dlatego, że choroba nie była moralną podług wniosków panów dystrybutorów — Pani Klaudya, nie szukając przyczyn choroby, posłała zakładowi 300 fr., nie mówiąc nic, skąd i od kogo pochodzą. Takie szlachetne czyny, bez wspomnienia o tem, pozostać nie powinny.

22-go Listopada 1835 r. Dziś żandarmy w łańcuszkach przyprowadzili do tutejszego więzienia Polaka, powiedziano mi. — Potrzeba go widzieć, pomyślałam sobie, i oto stanęłam przed brudnym, wysokim murem więzienia. Potrzeba zadzwonić, rzekł przechodzący człowiek, — zadzwoniłam, spuszczając oczy na dół. Rygel zeskoczył i ujrzałam przechodzącego się, w okularach, zamyślonego człowieka. — „Co Pani żąda? — ostro zapytał. — „Widzieć Polaka, którego tu wczoraj przyprowadzić miano.“ — Zawołał innego człowieka i przeprowadzić mnie do niego rozkazał. — Zmięszał się młody, przystojny młodzieniec, gdym weszła do brudnej niesłychanie izby, gdzie na barłogu startym spoczywał. — „Przychodzę zapytać Pana, czy nie potrzebujesz czego i co za powód w tak smutnem postawił Cię położeniu?“ — „Przybyłem do Paryża — rzekł — dla wyszukania sobie zarobku; na drugi dzień porwano mnie do policyi, z której już do mej stancyi nie wróciłem. Tak więc, jak stałem, 6 dni trzymano mnie w prefekturze,

[1]) Walenty Zwierkowski, poseł.

a siódmego odprowadzić na miejsce, skąd wyszedłem, kazano." — Nie potrzebowałam pytać o to więcej; żywy rumieniec, łza w oku, szczere i naiwne tłumaczenie się, świadczyły, że kłamstwo ust jego jeszcze nie skaziło. — Porozumiawszy się z zakładem, wszystko, co można było, uczyniliśmy; uwolnić nie można było, ale grzeczny pod-prefekt tyle uczynił, że już nie piechotą przy koniu żandarma, prowadzonym był ten nadobny młodzieniec, ale wieziony wygodnym powozem. Przybywszy na miejsce, wdzięczność swoją przesłał nam na piśmie. Był to syn adwokata z Warszawy, B......o.

23-go. Zaaresztowano 15 naszych; zamknięto do Św. Pelagii. „Gdzie to piszesz?" — zapytał mnie dziś Mąż. — „Do domu" — odrzekłam mu wesoło. — „Do domu! — smutnie powtórzył. — „Tak, pomyliłam się, my domu nie mamy — do siostry więc piszę."

29-go. Piątą już rocznicę święta narodowego obchodzimy. Dokończyłam moją robotę i jak chorągiew uroczystości zawiesiłam; ucieszyć się nią dosyć nie mogli rodacy; wzięli ją, aby pokazać przyjaciołom swoim Francuzom. Wieczorem zebrali się wszyscy do nas i tak wesoło bawiono się, jak za najlepszych czasów.

3-go Grudnia 1835 r. Już żadnej niema wątpliwości, że Sowińska uwięziona: nikt nie wie, gdzie i za co.

18-go. Lat już 4, jak kraj rodzinny opuściłam. Nie zdawało mi się wtenczas, że na tak długo.

24-go. Wilia Bożego Narodzenia. Po polsku obchodziliśmy ją. Gdyby nie ten gwałtowny zapał Pana Seweryna w dyskusyach politycznych, powiedzieć można byłoby, że pożycie nasze tu prawdziwie braterskie. Nikt nie pojmuje, jak mi bolesno i przykro słyszeć te sprzeczki w zdaniach politycznych — jak się lękam często o Męża, bo to jego irytuje. Prawdziwie, żebym wiedziała, że jest jaki kącik na świecie, gdzieby o polityce nie mówiono, tobym się tam skryła. Ale trudno, samemu żyć niepodobna, a wszędzie znajdą się tacy, boć to niepodobna mówiś z zimną krwią o tem, co interesuje.

29-go. Wyjechałam do Paryża; pierwszy raz sama — na dni cztery; jak to przykro rozłączyć się z Mężem. Starali się tam bawić mnie; stałam w domu gościnnym, bardzo tęskniłam, bardzo. Nie, tylko dziś obok Męża może być dobrze, i ten zgiełk świata, ten hałas wielkiego miasta nie zgadza się wcale z humorem moim.

3-go Stycznia 1836 r. Powróciłam do ukochanego mi Męża; był mi rad bardzo, bo i jemu widać weselej jest ze mną.

15-go. Od dnia do dnia łudziłam się nadzieją, że list od mej siostry odbiorę. Wszystko zwolna ustaje dla mnie. Przez jakie to ciężkie próby przechodzi to biedne serce. Żalić się? na co by to przydało się. Cierpieć i wytrwać, Boże, dozwól mi!

19-go. Co tu notować w tym dzienniczku, kiedy nic niema pewnego. Tyle nowin, tyle nadziei zabłysło jednego dnia, a drugiego zgasło. Rozpaczać przecież nie należy — potrzeba notować wypadki i myśli tak, jak one są realne — i poddać się złudzeniu — dobra czasem chwila pociechy.

23-go. Nie, na nic się nie przyda moje męstwo; spokojną być nie mogę. To dziecko, powierzone mi przez umierającą siostrę, ciągle mi na myśli. Jam go wychować miała, możeby mi Bóg był dopomógł usposobić z niego człowieka, jakiego sobie ideał w sercu mojem utworzyłam. Nie mam moich dzieci; wpoić w małego Władzia uczucie synowskie wróżyłam sobie — wszystkie rachuby moje znikły. Rośnie biedne dziecko daleko odemnie. Niewypowiedzenie cierpię na tem, ale nawet żalić się na to zabraniam sobie, bo na co się to przyda.

4-go Lutego 1836 r. List nakoniec od siostry — smutny, bo wszystkie jej dzieci chore na szkarlatynę. Biedna siostro. Ty cierpisz, a ja Ci w pomoc pójść nie mogę.

11-go. Tłusty Czwartek. Przednie udały mi się pączki. Młodzież nasza jadła smaczno, wesoło nam się zrobiło na chwilę, bo myślą i zwyczajem do Polski przenieśliśmy się.

16-go. Dzień niegdyś szalony w Polsce — tu się smutnem pogląda okiem na cudzą wesołość i zwyczaje.

24-go. Dziś mój dobry, kochany Mąż zaczął rok 72, z całą żywością umysłu młodocianego, z uczuciem dla Polski. O. jakże szczęśliwą jestem; Boże, Ty wiesz, że to jedyne dobro, które mi na tej ziemi pozostało. Zachowaj mi go, błagam Cię!

4-go Marca 1836 r. Imieniny Męża; winszowali mu wszyscy i na obiad zaprosili, zwyczajem tutejszego zakładu każdego imię obchodzą w ten sposób. Zbierają się wszyscy do oberży, w której zwykle jadają tam skromny obiadek, — każdy za siebie płaci i za solenizanta w części bardzo małej. Uczta taka niewiele kosztuje, a dowodzi miłości braterskiej. Przyjął tedy i Mąż z uczuciem wdzięczności taką skromną biesiadę; tą razą mieli większy wydatek, bo i Pani Kazimierzowa była na tym obiedzie. Bardzo mile odbył się ten obiad — wszyscy bez wyjątku byli na nim. Zdrowia, wiwaty szły z całej duszy i serca. — Niechże Mikołaj powie, że my tu już żadnej pociechy nie mamy. Jest i wielka tam, gdzie

się uczucia na jedno zgodzą. Czas zbliżył nas do dobrej harmonii; już tu zaczyna się pożycie takie, jakie powinno być w tułactwie — jeden mamy interes. To też już od nas nie stronią; każde święto obchodzimy razem; na spacery zbieramy się razem, a zebrawszy się, każdy opowiada, co słyszał, co z gazet wyczytał, co w liście odebrał etc.

26-go. Zmieniliśmy mieszkanie. Wracamy do domu Pani Gillet, do pięknego salonu. Odetchnęłam tu lepiej, bo też fatalny dom mieliśmy.

1-go Kwietnia 1836 r. Zapomniałam powiedzieć dotąd, że dar Pani Gillerman przesłałam do Ameryki dla biednych braci naszych: najczulej podziękowałam za jej dobre serce (i gdybym była potrzebniejszych od siebie nie znalazła, dodałam w liście, pisanym przezemnie do Pani Gillerman) pewnieby ten dar, bez upokorzenia, został przy mnie.

3-go. Wielkanoc. „Tak, jak w Polsce!“ — zawołali wszyscy, wchodząc do salonu, gdzie stół duży, zastawiony czem tylko było można najlepszem, — „o, zjawisko niesłychane, ady to polskie baby, mazurki, szynki!“ — „i sercem polskiem ofiarowane“, dodałam, dzieląc się jajkiem święconem. Wesoło nam dzień szedł. Deszcz padał, wyjść nie można było, a więc dla strawności graliśmy w 4 kąty, w ślepą babkę etc., a tem samem wiek młody sobie przypominali.

16-go. Dziś dokończyłam robotę moją: wyjście Emigracyi z kraju, wyszyte na kanwie. Państwo Hoffmanowie przybyli tu na mieszkanie: przecież będę miała towarzystwo kobiety tyle pożądanej odemnie.

2-go Maja 1836 r. Wiele dni ubiegło, a jam się nie zebrała, aby coś zapisać do mego dzienniczka; bo też to człowiek w zgryzotach do niczego nie jest zdolnym. Mąż mi był nieco słaby, to już jedna, dostateczna; dalej Pani Bronikowska otruła się, zostawiając niezaszczytne wspomnienie dla Polki — szkoda wielka: młoda, edukowana, przystojna; powiadają, że dzieła Pani Sand zawróciły jej głowę i popchnęły w tą przepaść. 22 konfederatom wyjechać kazano; brawura niepotrzebna, bo robić wszystko można dla dobrej sprawy, ale w tem chluby, osobistości nie szukać. Nie wiedziałby też świat nic o tych sławnych ludziach, gdyby w skrytości dla Polski działano i gdyby nie szło o to, kto zrobił, lecz aby zrobił. Nakoniec Państwu Hoffman wyjechać stąd kazano; niedługom się cieszyła miłem towarzystwem z Panią Hoffman.

30-go. Jakąż to bolesną stratę ponieśliśmy! Długo pióra do ręki wziąć nie mogłam. Nikt jej nie zastąpi, nikt nie zrówna temu poświeceniu się dla ludzkości i miłości bratniej. Klaudya Potocka była wzorem cnót poświęcenia się całkowitego dla Ojczyzny i miłości bliźniego — i ta dobra, ukochana Klaudya znikła z pomiędzy nas! Nie dosyć jest zapłakać nad tym zgonem; przechować pamięć jej cnót, naśladować. Lecz i to niepodobna; ona była znana, miała wielkie stosunki, sama bogata. Żadnego widać nie zostawiła życzenia swego. albo nie chciano posunąć go dalej. Nie śmiem o tem sądzić, bo nie mam przekonania. Żałuję bardzo, że ś. p. Klaudya śladu żadnego pisma mieć nie chciała. Może to było jej życzenie, aby śmierć jej przecięła wszystko. Szanujmy wolę jej.

1-go Lipca 1836 r. Moja siostra pisze mi, że wysłuchała rozmowę swych dzieci: jak ta nasza Ciotka i Wuj muszą być bogaci; mają Besançon. Tuluzę, Fontainebleau. Biedne dzieci, pomyślałam sobie. Słysząc tę rozmowę, malutki Witołd rzekł także: nie wiem, dla czego nas matka do Cioci nie poprowadzi, chociby też tak daleko, jak Saski Ogród od nas była.

10-go. Zastanowił mnie wielce list. odebrany dziś od G. S.[1]); oto wyjątek z niego: Bystrzonowski powiedział. w jednym domu, że wie z pewnością, jakoby istniał Związek kobiet. Że tu w Emigracyi dwie tylko do niego należało: Klaudya Potocka i Ty. Zaklinam Cię na miłość Ojczyzny, staraj się kontynuować go, bo lubo nie wiem. co to było, nie wątpię, że było dobre, jak skoro wyście tam należały. Tem bardziej wziąć się seryo i prędko do tego potrzeba. bo Ci donoszę z pewnością, że damy-arystokratki mają swój związek pod nazwą Matki-Polki. Pan Bystrzonowski przychodził z propozycyą do Tomaszewskiej [2]), aby weszła do tego związku i całe ustawy jej przynosił do odczytania. — Zgroza, czego one tam chcą — wszystko przeciwne teraźniejszym zasadom etc. Odpisałam, że to, co wiedziała ś. p. Klaudya, mogłam ja nie wiedzieć, a to, co ja wiem, Pan Bystrzonowski pewnie o tem wiedzieć nie może; są to domysły, na niczem nie oparte i nie wiem, dlaczego wymyślane. „Co się tyczy żądania, Pani sama, gdyby się była dobrze zastanowiła nad tem, nie robiłabyś takiej propozycyi, bo to. co mogła i robiła Klaudya, żadna z nas prowadzić tego dalej nie może; z nią wszystko ustąpiło do grobu.“

---

[1]) Generałowej Suchorzewskiej.

[2]) Konstancya z Sarneckich Tomaszewska, żona Józefa, posła na Sejm 1831 r.

15-go. Dziś drugi odebrałam list; odpowiedź na mój. „Nie godzi się odrzucać rzeczy tak ważnej; czyż to nie do nas należy zapobiedz złemu, kiedy wiemy o tem. Powiadam Ci, że jest w kraju i tu związek kobiet, które dążą do przytłumienia wszelkich uczuć narodowych, do pognębienia wolności ludu etc. A Ty projekt mój odrzucasz...“

16-go. Odpisałam: nie, nie odrzucam, co dążyć może do dobra Ojczyzny naszej; wskaż mi Pani, co mam robić, a na wszystko gotowa jestem etc.

22-go. „Co teraz, to Cię rozumiem i kocham — odpisano mi: — przyjedź do Paryża. Są tu przybyli z kraju Państwo N. N.; sama Pani, wielka patryotka, opowiada wiele rzeczy bardzo ciekawych, co się tam dzieje w kraju. Inaczej nie mówi nikomu, jak obywatelu, obywatelko, a panny — dziewicami nazywa. Tak się tytułują teraz wszyscy w kraju etc., etc.

23-go. „Na skrzydłach poleciałabym, gdybym mogła powitać tę Panią i posłuchać tak interesujących opowiadań dla nas. Lecz interesa moje nie pozwalają mi tego uczynić, aż w przyszłym miesiącu. Przygotuj się, Pani, do tego, co pragniesz, poznaj się z nią dobrze, a mnie wskaż dzień, kiedy mam przyjechać, abyśmy się widziały i naradziły.“

1-go Sierpnia 1836 r. „Państwo N. N. mieszkają w Wersalu, ale to nic nie szkodzi, pojedziemy do nich, gdy przyjedziesz. Napisz, kiedy to nastąpi.“

2-go. „Niezawodnie na 10 b. m. będę w Paryżu. Dobrzeby było, abyś kilka kobiet zebrała do siebie, żeby każda z tych kobiet przygotowała wcześnie projekt do założenia towarzystwa, którego pragniemy być członkami. Ja długo bawić nie mogę i dlatego tylko na dzień umówiony przybyć do Was mogłabym.“

4-go. „Przyjedź 10-go; wszystko tu gotowe będzie — pomyśl i ułóż projekt na piśmie. Każda z nas to samo uczyni, a Bóg będzie z nami.“

10-go. Otóż i do Paryża dziś jadę. Myślałam nad tem dużo, co uczynić, co powiedzieć tam. Udałam się nakoniec do modlitwy: prosiłam Przedwiecznego, aby natchnął serce moje tem uczuciem, jakie najlepiej jest potrzebnem dla dobra naszego ogólnego. Po-Pokrzepiona tą modlitwą, siadłam i napisałam, co następuje:

Choćby nadzieje nasze omylone zostały nie 7 razy, ale 77, nie traćmy nigdy nadziei, Panie! Tyś nie odstąpił Twego ludu w niewoli, nie oddałeś go na zawsze w ręce ciemiężców. De Lammevais.

Nieszczęścia Polski są głośne. Jej ster obecny każde prawe serce zasmuca. Lecz rozpacz nie ma wstępu do serc jej synów. Żaden naród nie traci swego istnienia dopokąd sam występnie nie zrzecze się własnej godności, dopóki pełni i żywi społeczeńskie cnoty.

Po dwakroć kamień, na którym zbrodnicza ręka śmierć Polski zapisała — kruszył się, na jej politycznym grobie. Każdy dobry Polak wierzyć powinien, że własne siły narodu wystarczą do podźwignięcia całej Polski. Ale wielkie dzieło potrzebuje wielkich ofiar; złote tylko dusze przerażają się trudnościami i nie są zdolne wznieść się do myśli odzyskania praw człowieka. — Inna jest cecha ludzi szlachetnych; wiedzą oni. co są winni całemu swemu rodowi i jego pokoleniom, wiedzą, że w szczęściu innych leży ich własne: chętnie się więc poświęcają tam, gdzie idzie o dobro ogółu.

Waleczni nasi ojcowie, bracia, mężowie w kraju i na wygnaniu, w chwilach powszechnego ucisku i prześladowania nie przestają myśleć, pracować dla Polski i ludzkości; nieme westchnienia rodzin są dla nich silnym bodźcem do działania. Do nas zaś kobiet, należy umacniać ich w wierze i nadziei, tudzież powiększać ich siły moralne, przykładając się wraz z nimi do tak wielkiego i zbawiennego dzieła. W sprawie Ojczyzny naszej, oni wyższymi celami zajmować się powinni; nam tylko część moralna, wspólnie z nimi jest zostawiona.

Dla tego obowiązujemy się niniejszym aktem, pomiędzy wszystkimi mieszkańcami Polski w kraju i emigracyi. bez różnicy rodu, stanu i wyznania, wszczepiać, podnosić i utrzymywać uczucie braterstwa, wolności, równości i poświęcenia, gdyż to są odwieczne warunki społecznego bytu; ich początkiem i końcem jest sam Bóg. Ich naruszeniem sprowadzono źródło nieszczęść, któremi dziś nasza ziemia jest zalana. Wyrzekamy się więc dawnych przesądów i zastarzałych wad narodowych: urodzenie, bogactwa. znaczenie i urzędy nie mają dla nas żadnego powabu; cenimy ludzi z ich poświęceń, zasad moralnych, uczuć prawych i szlachetnych, czystym zapałem miłości Ojczyzny ożywionych, jako najpierwsze i jedyne zalety człowieka. Nie zapytujmy, starającego się o rękę kobiety, jakiego jest rodu, znaczenia, majątku, lecz, przedewszystkiem, czy się zasłużył, albo czy jest gotów służyć swej Ojczyźnie, czy gotów poświęcić się dla ludzkości.

Rodaczki! nie jest to rzecz trudna do wykonania. byle jej towarzyszyła chęć szczera. Czyste, bez intryg, bez osobistego interesu są nasze chęci i żądania. Bóg im błogosławić będzie, źli

ludzie nie odważą się nam szkodzić. — Takie są zasady stowarzyszonych, które czerpane w Boskiej nauce Chrystusa, przekazujemy młodym pokoleniom naszym.

Podpisane na niniejszym akcie, postanawiamy w tym duchu działać, pracować oraz łączyć dotychczasowe pojedyncze usiłowania, aby tem skuteczniej wpływać na pomyślność sprawy Polski i ludzkości. Nazwę można by dać temu związkowi Ziemianki.

Sama się zadziwiłam, odczytawszy ten projekt i uważam za natchnienie jakieś wyższe nad moje zdolności. — Po czułem przywitaniu się z wezwaną do siebie i kiedyśmy zostały same, — ciekawie zapytałam. które są wezwane przez nią rodaczki na dzień jutrzejszy i jaki napisała projekt? — „Żadnej nie wzywałam — odpowiedziano mi, — a co do projektu, to moja głowa nie do tego“. — Zmieszałam się taką odpowiedzią; „to nic rzekła dalej, pojedziemy do Wersalu i tam będziem gadać“.

11-go. Jedziemy tedy do owego Wersalu, a nie wiedząc mieszkania Państwa W., błąkamy się długo po rozległym Wersalu, pytając się od domu do domu; nakoniec znajdujemy. Na schodach mówi mi moja towarzyszka: „Ty zacznij z nią o tem mówić, bo ja nie nie powiem“. — „A więc, wróćmy się — rzekłam — ja nieznam tej kobiety“. — „Niebądź dzieckiem, wchodź“ i popchnęła mnie, otwierając drzwi. — Miła, grzeczna kobieta wyszła do nas; czerstwa, zdrowa, znać było, że żadna jeszcze wielka zgryzota nie spotkała ją. — „Siadajcież, obywatelki; jakżem szczęśliwa, — cóż was tu przywiodło?“ — „Mów Pani“, rzekłam, odwracając się do mej towarzyszki. — „Mów ty“. — Niechciałam sprzeczek robić i rzekłam: „My tu przybywamy do Ciebie, Obywatelko, z projektem. Przybywasz z kraju, wiesz najlepiej, co się tam dzieje i w czem my użyteczne stać się możemy. Nasz projekt jest założyć towarzystwo pomiędzy sobą, jedynie w celu moralności i ludzkości; chciej przyjąć nasze zaprosiny do tego związku i objaśnić nas, jak go urządzić, aby w kraju był dogodny. Taka umowa była pomiędzy nami, że każda z nas napisze projekt do tego, a całość onego uformujemy ze wszystkich podań. Oto jezt mój. a towarzyszka moja przyrzekła tu go napisać.“ — Odczytała podane jej pismo: „dobrze napisane, rzekła, pozwolisz, obywatelko, że zaczekamy aż mąż mój nadejdzie, on z tem oswojony, a ja dla niego niemam sekretu“. — „I owszem, odpowiedziałam, ja także niemam nic tajnego dla niego“. — Nadszedł niebawem i Pan W. i zasiedliśmy do okrągłego stołu. Napisano akt ogromy, noszący cechę związku węglarzy; artykuły także w części też same. Następnie

żądano, aby centralizacya była w Fontainebleau, żebym ja utrzymywała kontrolę, żeby Karol R. był moim kuratorem. Wymawiałam się z tego; chciałam aby w Wersalu takowa była. aby moja towarzyszka podjęła się tego i t. p. Wszystko to odrzucono i zdecydowano, że Centralizacya nie gdzieindziej, jak w Fontainebleau być musi na ten raz. — Widząc, że się z tego wymówić nie można, przyjęłam na rok jeden, z zastrzeżeniem. że po upłynionym roku, w inne przejdzie ręce. „Dobrze — odpowiedziano — tak to będzie, albo potwierdzimy nadal“. Zabrawszy tedy plikę papierów, wróciliśmy do Paryża późno w noc.

13-go. Odjeżdżając do Fontainebleau, naradzałam się jeszcze z Panią S. co nam pozostaje czynić. Proponowałam, żeby kilka naszych rodaczek wezwać do tego, ale na żadną zgodzić się nie dała. Ja byłam zdania. że i te, którym nie ufamy, potrzeba wciągnąć do związku, lecz się temu sprzeciwiono i na jedną tylko Panią O. padł wybór. Zgodziłam się chętnie na to i Pani S. miała tego przyjęcia dokonać.

14-go. Odpocząwszy trocha, po trudach paryskich, oddałam imieniem Towarzystwa Ziemianek (gdyż taką przybrało nazwę) zaprosiny Karolowi R., aby był naszym kuratorem. Przyjął je chętnie, a przejrzawszy napisane przez Pana W. akt i ustawy, zgodził się ze zdaniem moim, że takowe nieprzydadzą nam się, że więcej są męskie i polityczne. a nasz cel jest popierać zasady moralne. — Na mocy tedy władzy jaką dano centralizacyi, akt powyższy został przyjęty; ustawy niektóre przyjęte, główne są: że się nazywać siostrami będziemy, żyć w zgodzie i jedności, starać się rozszerzać, podnosić i utrzymywać przyjęte zasady, 3 siostry razem zebrane obradować i przyjmować inne mają prawo. Każdego miesiąca zdawać sprawę Centralizacyi ze swych czynności. Zaprzysiężone warunki święcie dochować; książkę u siebie wszelkich wspomnień utrzymywać: krzyżyk z olszynki grochowskiej, jako godło związku nosić. Niedotrzymująca warunków siostra ulegnie karze przez Centralizacyę zdecydowanej. Wszystkie te powyższe warunki następującą przysięgą obowiązują się:

W obliczu Boga Wszechmocnego i przed Wami, Siostry, ja N. N. przysięgam, że objawione mi zasady stają się odtąd mojemi, że do ostatniego tchu życia mego będę je rozszerzać, upowszechniać i wspierać własnymi przykładami, że tym sposobem służąc Ojczyźnie i Ludzkości, robię powinność do jakiej mnie Opatrzność powołała na ziemi. Przysięgam jeszcze zachować największą tajemnicę przed osobami do tego związku nie należącemi, albo należeć niemogą-

cemi. Tak mi, Panie Boże, dopomóż etc. — Przysięgę tąże zawsze, we wszystkich modłach, na pamięć sobie przywodzić będę, uroczyście przyrzekam, a jeśli bym zapomniała kiedy o tem na co tu przysięgam, Boże, odwróć na zawsze odemnie Twoje oblicze, a Wy. rodaczki wskażcie mnie na hańbę opinji publicznej.

15-go. Wszystko to spisawszy odesłałam do Wersalu dziś, z oznajmieniem, że Męża mego do całej tej tajemnicy przybrałam sobie jako doradcę w trudniejszych dla mnie rzeczach, że on podziela zupełnie nasze cele i że to będzie dla mnie wielką zachętą. obym godnie odpowiedziała wezwaniu etc.

16-go. Kilka, na różne strony rozpisałyśmy listów. Kurator nasz wiele nam w tym dopomógł, znając drogi, któremi pisać można. Listy poszły na Wołyń, do Litwy i Galicyi.

17-go. Księga kontroli zporządzona i zapisane w niej są przyjęte artykuły i akt założenia związku. Imiona kolejno napisane. Pierwszą, jako prowokującą położyłyśmy Siostrę Terezyę Suchorzewską, druga Konstancya Wielogłowska, trzecia—ja. Mam nadzieję, że dalej pójdzie wszystko dobrze.

18-go. Dzień mych urodzin; Mąż mi winszował, aby się nam udało tak, jak sobie życzymy.

19-go. Tak mile dzień zszedł moich imienin. Mąż był zdrów, wesół; rodacy nie opuścili nas dzień cały.

20-go. Co to jest, że nie odpowiadają z Wersalu.

22-go. Listy od Sióstr Teresy i Konstancyi. Pierwszego treść następująca: „Musiałaś gadać coś przed kimś w Paryżu, bo cały świat wie już o naszym związku etc.“ czytam. Drugi też same dziwne i niezrozumiałe rzeczy. Odpisałam jak wypadało na takie listy, dodając, że w księgę, sporządzoną do zapisywania takich rzeczy zapisywać nie mogę, że warunek jest, aby żadnych niezgód. podejrzeń pomiędzy nami nie było. Czyż od plotek mamy zacząć czynności swoje?

28-go. Pokazało się, że to wszystko bajki; nikt nic nie wie. ani mówił.

30-go. Posłano do Tours propozycyę Pani Tomaszewskiej.

6-go Września 1836 r. Państwo Ordęgowie przybyli tu. Wiele niemiłych rzeczy dowiedzieliśmy się. Wszystkie powtórzone słowa przez Siostrę N. były jej własne. Na kogo i na co rachować można na tym świecie? — kiedy wszystko obłuda. Żadnej nie dokonano formy względem przyjęcia siostry [illegible]deżyny. dopiero w Fontainebleon dokonała przysięgi; dziś i akt doręczony jej został 4-a więc. pod imieniem Siostry Anto[illegible] [illegible] ko[illegible]oli z[illegible]iągniętą została.

10-go. Szczęśliwa rocznica połączenia się naszego. Mąż mnie tak czule do serca swego przycisnął, jak przed 26 laty. O dzięki Ci Wielki Boże, że w sercu jego te same zawsze żywisz uczucie. Dziś odebrałam list z Tours i na piśmie dokonaną przysięgę dwóch sióstr: Konstancya T. [1]) zaciągnięta pod numerem 5-tym, Julia [2]) jej siostra pod nr. 6-tym.

25-go. Zaproszeni zostaliśmy do Zeltnerów dla obejrzenia pomnika, stawić się mającego dla Kościuszki; zaproszeni byli wszyscy, ale nikt nie był tylko my. Jakiegoż to wrażenia doznało serce moje na widok znacznie już wzniesionego tego dzieła pamięci naszego czcigodnego rodaka.

26-go. Następująca odezwa posłaną została do Galicyi i dalej za pośrednictwem siostry Konstancyi T. [3]). *Odezwa do kobiet w kraju!* Rodaczki! Odzywamy się do Was, ile razy znajdujem do tego sposobność, a milczenia Waszego nie bierzemy za oznakę niepodzielania uczuć, jak raczej za roztropność i potrzebę ścisłego ukrywania się przed dziką czynnością ciemięzców Waszych. W przekonaniu, że każda dobra prawa Polka rodzi się z miłością ku Ojczyźnie i w każdej przygodzie żywi ten święty dla niej ogień, do takich to myśl naszą zwracamy. W Was więc, Rodaczki, spoczywa nadzieja lepszej przyszłości, bo my, nieliczne, rozprószone po świecie i choć nas żadne jarzmo tyrana nie tłoczy, ale bezsilne, bo na obcej ziemi prócz gotowości i najgorętszych życzeń, nie wiele dla działalności poświęcić możemy. — Wam to zostawiamy udział wpływania moralnego na umysły i serca nietylko mężów, braci, krewnych, przyjaciół, ale i na resztę społeczności. Przez Was to ona pojąć może tę prawdę, że aby być szczęśliwym, być wolnym, że nim zostać nie można bez połączenia w masę wszystkich sił krajowych i poniesienia takich ofiar, jakich wyciągać będzie wielkie dzieło oswobodzenia i ustalenia niepodległego bytu, dziś rozszarpanej Ojczyzny naszej. — W takim stosunku możnaż cnotliwej Polce, większej dla siebie upatrywać chwały i mieć żywszą rozkosz nad tą, że się wpływało na szczęście milionów ludzi?! Zadrży tyran, skoro pozna, że i w słabej kobiecie ma mścicielkę hańby i krzywd krajowi wyrządzonych, bo wie, jaką ma siłę uroczą do działania płeć nasza. Szczęśliwsze od Nas, szanowne Rodaczki, Wy w kraju wszystkiego dokazać możecie; nam na tułactwie ta jedna pociecha zostaje, że podzielamy niedolę mę-

[1]) Tomaszewska.

[2]) Julia Sarnecka.

[3]) Tomaszewskiej.

żów, braci, ojców naszych i z nimi przechowamy narodowość naszą. Prosimy więc. azebyście nas uważać chciały za połączone z Wami najsilniejszym węzłem jedności w sprawie Ojczyzny. Podajmy sobie przychylne dłonie i działajmy, a Wszechmocny dopomoże. Miał już ofiar nie mało, litościwy — nowych na próżno nie zechce.

29-go. Posłany akt i odezwa Emilii Szczanieckiej.

3-go Listopada 1836 r. Posłaną została propozycya Pani Januszewiczowej z córką.

5-go. List z kraju pomyślny, że się tam przyjęło rzucone ziarno, piszą. — Piszą, że duch towarzystwa czyni postępy etc.

12-go. Już z kraju, z oddalonych bardzo prowincyi mamy odpowiedź i pomyślną — a od naszych sióstr z emigracyi ani słówka. O. tak się nie godzi robić sobie igraszkę z rzeczy tak ważnej.

29-go. W dniu tym przyjętą została Anna Zienkowiczowa i Józefa Dmochowska. Pani Januszewiczowa z córką także przyjęła zaprosiny.

Piąta rocznica święta narodowego na obcej ziemi. Oh, jakże to długo! Obchodziliśmy ją razem; tyle, ile się tylko znalazło tu Polaków, wszystko się zebrało do małej restauracyi i każden za swe pieniądze jadł obiad. Miło było. bo razem — i pogadać i zapłakać można. — Krzyżyk z obszywki grochowskiej — godło związku naszego dziś przywdziałam. Miałam kawałek tego drzewa, przywiezionego mi z kraju. Jubiler tutejszy oprawił ładnie dwa jednakie w złoto z obrączki ślubnej Męża mego, która pękła była przed kilku laty. Ta obrączka podwójnie poświęcona; raz w roku 1777, w dzień ślubu Ojca mego. którą on nosił lat kilka także. Te dwie obrączki rodzicielskie dane nam były do połączenia się naszego w roku 1810, a lubo przerobione, pękła znowu Mężowi. Nie mamy córki, której by do trzeciego błogosławieństwa służyć mogła ta ślubna obrączka, rozumiałam, że najlepiej uczynię, przenosząc ją na równie rzecz świętą, jak jest krzyżyk z olszynki grochowskiej. Wiara i nadzieja niech będą z wami. Jeden zatrzymałam dla siebie, a drugi dałam Siostrze T. S.[1]). Ja mój noszę, drugi do komody schowany może nie na długo.

1-go Grudnia 1836 r. Zmniejszono mężowi jego dotychczasową pensyę, niezważając na wiek, ani na to, że ma żonę; niesłusznie, podług postanowienia, ale Mąż upominać się o to nie będzie. Potrzeba dotychczasowy, dosyć i tak skromny, sposób życia nasz zastosować do okoliczności — odjąć sobie wiele potrzeb, ale to jeszcze nie dosyć, potrzeba zarabiać. Wzięłam z magazynu pa-

[1]) Teresie Suchorzewskiej.

ryskiego robotę na kanwie; przysłano mi 24 foteli, do komponowania na nich rozmaitych deseniów fantastycznych.

12-go. Jakże szczęśliwą jestem, że zdrowie służy mi ciągle — i kiedy Bóg dozwoli mi go nadal, żadna bieda nam nie dokuczy. Mąż ze wszystkiego kontent, zgadza się z wolą przeznaczenia, wesół, nie jest że to pociecha i szczęście? — O, gdyby nie obawa, że mogą przyjść cierpienia wieku i trudów, jakie w swem przeżył życiu; należy przecież ufać w Opatrzność Boską i tem się naprzód nie troszczyć.

15-go. Moja siostra tak nie często pisuje do mnie; biedna, widać, że nie może, bo o przywiązaniu jej ani na chwilę wątpić nie mogę. Do wszystkiego przywyknąć potrzeba; są ludzie co więcej cierpią od nas, a może się tyle nie żalą.

20-go. Szczerze się zajęłam ciągłą pracą dni 20. Porachowawszy włóczki mam zarobku 10 sous na dzień; wzięłam przecież i drugą robotę.

21-go. Mąż mi słaby. Oh, mój Boże, pociesz mnie, bo to jedna z najbolesniejszych dla mnie zgryzot.

24-go. Bóg nie zostawia bez pociechy tych, którzy się do niego szczerze udają. Mąż mi dziś jest zdrów i wszystko znowu dobrze. Generalstwo Suchorzewscy, którzy tu od niejakiego czasu mieszkają — wiele chwil uprzyjemniają nam i dziś właśnie sporządziliśmy wilią do Bożego Narodzenia wspólnym kosztem i pracą i zaprosiliśmy na nią wszystkich rodaków naszych. Bawiliśmy się dobrze, że aż w ślepą bobrę grali, lisa i t. d. Wszystko to nam przypomniało i wiek nasz młody i dobre czasy. Przechować i utrzymać narodowe zwyczaje — powinny być dla nas obowiązkiem, któregośmy w całem znaczeniu dziś dopełnili.

1-go Stycznia 1837 r. Lata biegną szybko; już ich tu tyle naliczyliśmy — zawsze w nadziejach, oczekiwaniach czegoś. Dobra jest i ta ułuda, bo krzepi i zasila do wytrwania. Winszowaliśmy sobie szczerze, ale ze łzą w oku, nie własnego, ale ogólnego dobra.

5-go. Piatą część odjęli nam żołdu. Dwie rzeczy w tym nowym zastosowaniu się do okoliczności są mi trochę przykre: że kawy po obiedzie nie piję i zwyczajem przodków naszych gościnności w domu naszym okazać nie mogę. Ale i w tym mam nadzieję, że do pierwszego przywyknę, a drugie nagrodzę sercem, to jest gościnnością starą polską.

1-go Lutego 1837 r. Tak pilnie pracowałam dzień cały każden w ubiegłym miesiącu, aby się przekonać wiele też zarobić

by można. Praca ta ciągła. która i zdrowie niszczy i wszystko inne zaniedbuje, przyniosła mi 25 franków: podług wyrachowania mego wypadło, że więcej tracę jak zarabiam. Odsyłając, oświadczę, że więcej takowej brać nie będę. Zajmę się odtąd domem: oddalę kobietę, która przychodzi do domowych posług; prać będę wszystkie małe rzeczy — prasować od praczki odebrane. wyprane koszule etc. Na tem wszystkiem oszczędzę drugie tyle i łaski niczyjej potrzebować nie będę.

5-go. Odebrany list od E. Szczanieckiej zapewnia, że ją doszły przesłany akt i odezwy.

1-go Maja 1857 r. O, jakże to miło oddać się zupełnie pracy, pracy, która niepodległość bytu zapewnia. Gdyby nie inne dolegliwości, powiedzieć by można, że do zazdroszczenia jest położenie takie.

6-go. Emigracya, to jest kamień probierczy, na którym wszystkie charaktery właściwy sobie kolor nadają. Może te dyskusye, te opinie przeciwne jedne drugim są potrzebne do wyrobienia kiedyś zbawczych środków dla biednej Ojczyzny naszej — ale przykre niesłychanie. Te sprzeczki, te podejrzenia, a każden, zdaje się, kocha swą Ojczyznę, a nic zgodzić się nie mogą.

11-go. Z powodu wyjazdu z Fontainebleu kuratora i z powodu zupełnej nieczynności sióstr, centralizacya dotychczasowa ustaje. Kiedy w przeciągu 9 miesięcy, pomimo ustaw, żadna do Centralizacyi niezgłosiła się siostra, dowodem jest, że takowa jest niepotrzebna. Rozesłane zostało do wszystkich sióstr zawiadomienie o tem i maleńka odezwa, w sposobie następującym:

„Wolą większości uznaną została potrzeba ustanowienia kontroli, do której siostry raczą nadsyłać wszelkie swoje czynności, zdania, projekta. Taż kontrola pod tarczą sumienia i zupełnego poświęcenia, otrzymywaną będzie przez Siostrę Benignę. Przytem proszone siostry, aby zawiadomiły przyjaciół swoich, to jest przyjaciół naszych dobrej sprawy, że żadnych składek pieniężnych towarzystwo nie miało na celu, ani takowych nie potrzebuje. — Doszły bowiem nas smutne wieści, że się zbierają składki w kraju — i lękać się potrzeba, aby się nie podszyto pod nasze imię. Dlatego nieustannie przekonywać potrzeba, że my od nich nie żądamy, jak tylko czystych, obywatelskich poświęceń. Niech zachowają grosz ten na lepsze użycie w ten czas, gdy go zażądają od nich osoby, mające prawo do tego, przez położenie w nich zupełnego zaufan[illegible] Co do nas, wiara ich tylko jest nam potrzebną i to przekonanie, że dążenia nasze [illegible]nym nienacechowane interesem“.

13-go. Wiadomość, żeśmy stracili generała Woyczyńskiego, szczerego przyjaciela i godnego rodaka, zasmuciła nas dużo. Zmniejsza się liczba nasza, a niedoli złych wieści coraz więcej przybywa. Cierpieć i wytrwać jest wprawdzie hasło nasze — są jednak chwile, gdzie zbyt srodze los nas prześladuje.

29 go. Wjazd księżniczki Heleny do Font. Zjazd wielki — festyny etc. Co nas to ma interesować?

4 go Czerwca 1837 r. Oglądaliśmy pałac, tak jak on był przybrany na festyny. Bogato, wspaniale; tak tu niegdyś nasza Marya Leszczyńska zaślubioną była Ludwikowi XV., królowi już na ów czas; ta może się korony niedoczeka.

9-go. Ubawił mnie dziś Mąż nadzwyczajnie, opowiadając zdarzenie swoje, jakie mu się dziś przytrafiło. Byliśmy przy końcu naszego obiadu — oboje zamyśleni jak się to nam często przytrafia. Raptem Mąż przypomina coś sobie i rzecze: „Czy ty wiesz Żono. żem ja dziś stał na szyldwachu? — „We śnie zapewnie“ — odrzekłam. — „Nie, na jawie, w bramie, jak się do ogrodu, przy pałacu, wchodzi. — Idąc sobie na spacer, grenadyer, stojący na szyldwachu, prosi mnie, abym stanął za niego, bo on musi się oddalić na moment, z okazyi potrzeby, która go nagli, i nie czekając odpowiedzi podał mi swój karabin i sam odszedł. Założyłem więc karabin na ramię i dosyć długo strzegłem wnijścia do ogrodu króla Filipa. Szkoda, żeś wtenczas nie przechodziła tamtędy, ale jaka szkoda! O, żeby była jaka elegantka chciała wejść wtenczas do ogrodu, to bym jej był pewnie powiedział: nie wejdziesz“.

17-go Są jeszcze chwile radości i wielkiego rozczulenia. Dziś poszliśmy z Mężem, do ogrodu na muzykę wojskową, gdzie ona gra dwa razy w tydzień i świat się tam zbiera. — Nie dla świata poszliśmy tam, ale posłuchać muzyki, a potem nie wypada stronić zupełnie od ludzi, żeby nie zdziczeć. Podali nam dwa krzesła i siedlismy, gdzie i drudzy. Przegrała muzyka parę sztuk pięknych i pauzę na chwilę zrobiła. Podpułkownik tego pułku zbliżył się do pułkownika Brake, (któren znał Polaków i Polskę i któremu mile czas schodził u naszego X. Józefa pod Blachą) i coś sobie powiedzieli: następnie podpułkownik zbliżył się do muzyki i pomówił z nimi. Natychmiast dobyli inne kajeta i grać poczęli Dąbrowskiego, następnie Chłopickiego mazura i nakoniec Warszawiankę. Gdy skończyli. pułk. Brake pokłonił nam się, powstawszy, co i my uczynili; Mąż nawet zbliżył się do niego i czule mu podziękował za tą oznakę publicznie uczynioną. Wszystkich oczy

zwróciły się ku nam i widzieli łzę wdzięczności. Nadzwyczaj smutni i rozczuleni tem, powróciliśmy do siebie.

6-go Lipca 1837 r. Siostra Teresa odjeżdża 12 t. m. do wód Emskich. Oświadczyła sama, że zabierze ze sobą wszystko, że tam widzieć będzie swą familię, przyjaciół. Ucieszyłam się tem wielce. Niema tu nas więcej, jak my dwie; naradzamy się, co nam uczynić wypada — to taka dobra zręczność, jaka nam się już może nie trafi druga. „Podług ustaw naszych do narady potrzeba trzech sióstr; ja napiszę do Tours.— tam jest dwie i upoważnimy Ciebie, abyś mogła, będąc na miejscu. to jest w Ems, stosownie do okoliczności działać; damy Ci akt założenia odezw kilka etc. — Ty, co zrobisz, notować będziesz — zupełną ufność położymy w Tobie, Siostro; to jedno sobie zastrzegając, ażeby każda z osób, z którą mówić o tem będziesz, cokolwiek do nas napisała. Wszakże w Ems wszystko powiedzieć i pisać można". — „Po co — rzekła siostra Teresa — pisać do Tours", ja nie lubię tych kobiet — „napisz sama odezwę do Polek". — „Ty wiesz Siostro, że ja nie polegam na mojem zdaniu; napiszemy obydwie, a potem z tego uczynimy całość". — Tak trwały spory aż do wiiji wyjazdu siostry Teresy. Żal mi się zrobiło opuścić taką zręczność; jeszcze raz namawiałem, aby co napisała, że z dwóch zdań jedna całość ułożyć się da łatwiej. — „Nie — rzekła stanowczo — ja po polsku pisać nie mogę. bo mi nawet listu trudniej jest napisać, jak po francusku". — „To napisz, nakoniec i po francusku" — ale i na to zdecydować się nie dała. Nie było na ten upór rady — żal opuścić takiej zręczności — a więc wezwawszy Świętego Ducha na pomoc. siadłam i te skreśliłam słowa:

Rodaczki! Stęsknione serca nasze za Wami, uczuły potrzebę przemówienia do Was. Lat 6 ubiegło tułactwu naszemu — w nich stopniowo przerywano nasze z Wami stosunki. tak, że dziś Matka, Żona, Siostra nie odezwać się do nas. — Nie obwiniamy Was więc o obojętność. bo wiadome powody i znana srogość ciemięzców. Smutną wszelako byłoby dla nas ostatecznością, gdyby nam wierzyć wypadało, że ulegając potrzebie, zrzekłyście się wszelkich nawet pomiędzy sobą, stosunków i zaprzestałyście być silnem ogniwem. spajającym umysły do jednego wielkiego celu. — Przeciwnie. ufamy Wam z całą mocą naszego przekonania, że obok jarzma żywicie u siebie ten święty ogień i dlatego chcemy się z Wami, Szanowne Rodaczki, o ile można porozumieć i połączyć, wspólne dzielić uczucia i wspólnie pracować. — Nie miejcie nas. jak Wam wystawiono, za głowy egzaltowane. — Towarzysząc Oj-

com, Mężom, Braciom naszym w niedoli, od nich nauczyliśmy się potrzeby podzielania ich uczuć i dążeń, lecz cóż może stanowczego zdziałać mała liczba nasza pozbawiona wszelkich z krajem stosunków. Na Was — więc, cnotliwe Rodaczki. zwracamy wzrok nasz i przed Wami otwieramy serca i uczucia nasze, gdyż przekonane jesteśmy, że moralnie działając, potraficie wielkie osiągnąć cele. Zdaje się nam bowiem, że one nie są zbyt trudne, zwłaszcza kiedy Was nie namawiamy do żadnych intryg politycznych: dość nam będzie wiedzieć, żeście zacnemi Polkami, u których Ojczyzna jest wszystkiem i w niej jedynie widzicie Waszą i milionów ludzi szczęliwość, że takie uczucia i dążenia upowszechniają się, że w takich rośnie nowe pokolenie nasze, że okrywacie hańbą wszystko, co sprzyja, albo się łączy z nieprzyjaciółmi Ojczyzny naszej. Słowem, żeście wyższe od Spartanek bo i sprawa nasza po nas więcej wymaga.

Dr. Józef Frejlich.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wyprawa Zaliwskiego 1833 r.

(Ciąg dalszy.)

Około połowy marca zaczęli się zjeżdżać do Galicyi okręgowi. Mniej więcej 15 marca przekroczył Zaliwski z Dmochowskim granicę Galicyi w Białej i udał się w cyrkuł wadowicki. do wsi Kalwaryi, dzierżawionej przez Brandysa [1]). Był to pierwszy etap wszystkich, przybywających z Francyi, którym Zaliwski polecił Brandysa. Brandys był pochodzenia włościańskiego [2]) ale dość zamożny, w cyrkule wadowickim bowiem posiadał kilka dzierżaw z masy Czartoryskich, jeszcze w czasie powstania był ogromnie czynny, a po upadku powstania udzielał chętnie w domu swoim przytułku emigrantom. od których rojno było w cyrkule graniczącym z Krakowem. Z tych czasów znał też Brandysa Zaliwski, u niego także przebywała czas jakiś żona Zaliwskiego przed wyjazdem do Paryża. Był on o wyprawie zapewne powiadomiony przez Pietkiewicza, który również wszedłszy do Galicyi zatrzymał się najpierw u Bran-

---

[1]) Arch. krajowe. Z protokołu z Brandysem: „rodem z Czernichowa pow. Krakowski, lat 39, od 15-tu lat mieszka w Brodach, państwo Kalwarya, cyrkuł Wadowicki i trzyma w dzierżawie dobra do masy Czartoryskich należące. Po ukończeniu rewolucyi bawiło u niego w przechodzie do 1000 exwojskowych, ponieważ po przejściu Ramoriny i Różyckiego do Galicyi krzyżowały się przechody wojskowych w tych okolicach. Jedni szli z Podgórza w głąb Galicyi do jenerała Różyckiego do Zatorza, drudzy ztamtąd na Podgórze, inni ku Francyi z korpusu Ramorina".

[2]) Arch. krajowe Fasc. I. (Nr. 929) Nr. 187 od starosty Wadowickiego do starosty rzesz. Nemetzego 20/IV. 1833.

dysa, ale nim jeszcze okręgowi przybyli do Galicyi wyprzedził ich Leski wysłannik Czartoryskiego, który potrafił Brandysa źle usposobić dla gotującej się wyprawy i odjąć tem samem partyzantom możność korzystania z jego gościny i wskazówek. Ta jego zmiana taktyki wobec wychodźców nie uszła uwagi władz cyrkularnych wadowickich, które odnalazły przyczynę tego postępowania w tem, że Brandysowi przestano udzielać subsydyów na utrzymanie emigrantów, co dotychczas uskuteczniane było przez dom bankowy krakowski Bochenka, a z których to funduszów i sam Brandys korzystał. Obecnie odmawia przytułku emigrantom a nawet zawiadamia o ich pobycie starostwo, celem jaknajrychlejszego pozbycia się ich. [1])

Nie zabawił więc i Zaliwski długo u Brandysa' bo tylko jeden dzień, skąd ruszył w dalszą drogę, która się odbywała od dworu do dworu na noclegi, ciągle incognito pod nazwiskiem Malinowskiego. W Dębnie majętności Chryzostoma Spławskiego spotkał się z Wacławem Łobeskim [2]) dzierżawcą Łowczówka pod Tarnowem. Ten już przedtem wtajemniczony w całą sprawę bądź to przez Tyszkiewicza, lub jak sam zeznaje, przez majora Dziewickiego, który dnia poprzedniego zeszedł się z nim w Tarnowie w hotelu Léopol i zażądał jego pomocy w wyprawie, przedewszystkiem zaś zakupienia koni, celem urządzenia poczty. Właśnie wyprawiał się Łobeski po konie i postanowił przenocować w Dębnie, gdy późnym wieczorem przybył tam Zaliwski z Dmochowskim. Początkowo przedstawił się i tu jako Malinowski, potem dopiero objawił Łobeskiemu kim jest. Na razie podążał Zaliwski do Mikołajowic, wsi należącej do matki Józefa Tetmajera, polecił przeto Łobeskiemu,

---

[1]) Arch. krajowe: Zeznanie Zaliwskiego. Brandys jeszcze przed przybyciem mojem do Galicyi dowiedział się o zamiarach partyzanckich od Leskiego pułkownika, ponieważ ten był wysłany od księcia Adama Czartoryskiego, ażeby moim zamiarom przeszkadzał.

Brandys więc nietylko mnie nie pomagał, ale nawet przeszkadzał, jakem się o tem później dowiedział.

[2]) Arch. krajowe. Nr. 216. Protokół z Wacławem Łobeskim 23/XII. 1833. „herbu korab, urodzony w Tarnowie, lat 35, syn adwokata w Tarnowie Stanisława Ł. W r. 1816 wstąpił do służby wojskowej austryackiej jako kadet do pułku infanteryi Lichtenstein i służył blisko 10 lat; w r. 1826 wystąpił z wojska i zajął się gospodarką. Tak było do r. 1830, wówczas zostawił gospodarkę krewnemu i dnia 26. lutego 1831 wstąpił do pułku ułanów jako szeregowiec. Podczas rewolucyi awansował na nadporucznika, a po upadku Warszawy w Modlinie podał się o dymisyę i wrócił do gospodarstwa w Galicyi.

ażeby sprowadził Tetmajera do Mikołajowic, ponieważ ten po największej części przebywał w Tarnowie. Łobeski w istocie zastał Tetmajera w Tarnowie i z nim razem udał się natychmiast do Mikołajowic, gdzie czekali na ich przybycie Zaliwski, Dmochowski, Dziewicki, a prócz nich obywatel Sławiński [1]) z Kleczy, który również o sprawie był już poprzednio przez Dziewickiego poinformowany. Tetmajera znał już Zaliwski dawniej, bo jeszcze z Warszawy, gdzie Tetmajer podczas rewolucyi był urzędnikiem w komisyi wojny, również i Sławińskiego, którego poznał na Podgórzu, ponieważ jako żołnierz wojska polskiego odbywał tam kwarantannę. [2]) Obywatele ci zebrani w Mikołajowicach, przyrzekli Zaliwskiemu pomagać we wszystkiem. Ztąd udał się Zaliwski do Kolbuszowy, gdzie, według wskazówek Tetmajera, bawił właśnie Wincenty Tyszkiewicz, z którym koniecznie należało się widzieć przed wkroczeniem do Polski, jako z tym, który przez Pietkiewicza został przeznaczony do poczynienia przygotowań. Jak wiadomo z instrukcyi, bez minimalnie z 10 ludzi złożonego oddziału, nie wolno było wkraczać do Królestwa; o tych ludzi właśnie i to wszystko, co do ich uzbrojenia było potrzebne mieli się obywatele Galicyi wystarać. Zaliwski był przeto ogromnie rozczarowany, że nie zastał takich przygotowań, jakich się spodziewał, tembardziej, że było to już w przeddzień wkroczenia do Polski, które miało 19-go marca nastąpić. Okazało się, że Pietkiewicz nie wiele zdziałał w Galicyi, jak i Tyszkiewicz, który wziął na się obowiązek pokierowania tą sprawą. Zaliwski jednak mimo tych rozczarowań nie zaniechał zamiaru przekroczenia granicy Galicyi w oznaczony dzień, a dla przyspieszenia dalszych przygotowań właśnie zbliżył się do Tyszkiewicza przed wyprawą do Polski. Na spotkaniu tym w przeddzień wyruszenia, udzielił Tyszkiewiczowi instrukcyi i planu działania, a dla nadania mu autorytetu, zamianował go naczelnym organizatorem Galicyi, zastępcą zaś jego Tetmajera, który był przy tej rozmowie obecny, prócz tego wyznaczył na 18 cyrkułów, 18-tu naczelników cyrkułowych, których wybór zostawił Tyszkiewiczowi. Tyszkiewiczowi i Tetmajerowi zostawił dekret nominacyjny na piśmie. [3])

---

[1]) Arch. krajowe. Henryk Stawiński rodem z Oleska cyrkuł złoczowski, lat 27, mieszkał w Kleczy, żołnierz wojska polskiego w czasie rewolucyi.

[2]) Zeznania Zaliwskiego.

[3]) List Pietkiewicza do Lelewela (list Zarczyńskiego).

To postępowanie Zaliwskiego było pod każdym względem niestosowne. Przedewszystkiem było ono zbyt doraźne, więc nie mogło być wypływem dokładnego poznania stosunków w Galicyi, pozatem postąpił Zaliwski jednostronnie kierując się swoim wyznaniem partyjnem. Wiedział bowiem Zaliwski doskonale o istnieniu komitetu galicyjskiego, ale rozmyślnie go pominał, chcąc w ten sposób zaznaczyć swoje uczucie dla niego jako wyznawcy zasad Czartoryskiego. Był to krok dla wyprawy samej w Galicyi bardzo nierozsądny a nawet zgubny; nad przygotowaniem bowiem do niej w ostatnich kilku tygodniach pracował prawie tylko komitet nieco intenzywniej, on jeden mógł i nadal udzielać funduszów bo je posiadał i miał sposób i możność choć z narażeniem swej egzystencyi i w dalszym ciągu je zyskiwać. Należy tu jednak podnieść, że i Tyszkiewicz przyjmując na się godność organizatora popełnił błąd i wobec komitetu postąpił bądź cobądź niestosownie. Zaledwie bowiem przed kilku tygodniami zbliżył się był do komitetu z powodu właśnie zrozumienia własnej niemocy i doniosłości wpływów komitetu; o tych stosunkach powinien był przeto poinformować Zaliwskiego i pokierować inaczej jego wyborem.

Nie ulega wątpliwości, że z trudnością przyszłoby mu skłonić Zaliwskiego do nawiązania stosunków z komitetem, przybywał on jeszcze bowiem w nastroju kłócącej się emigracyi z pełną piersią pogardy a nawet nienawiści dla arystokracyi; w każdym jednak razie było koniecznym obowiązkiem Tyszkiewicza wpłynąć na Zaliwskiego i przez wierne przedstawienie stosunków galicyjskich pouczyć go, w jaki sposób należy sprawą pokierować. W istocie bowiem nie Tyszkiewicz i jego partya, ale właśnie komitet mógł coś zdziałać gdyby chciał, że zaś faktycznie był komitet pełen dobrych chęci świadczyła kilku tygodniowa jego robota. Inna rzecz, że równocześnie z przybyciem Zaliwskiego i jego okręgowych do Galicyi, rozpoczęło się oddziaływanie na komitet ze strony wysłanników nieprzyjaznych wyprawie stronnictw na emigracyi. Zjawili się już bowiem w Galicyi czterej wysłannicy Dwernickiego, z których Buleski najczynniejszym się okazał. Poznaliśmy już jego działalność na emigracyi i podczas podróży z Francyi do Galicyi, gdzie wszędzie nie omieszkał w myśl swej misyi szkodzić wyprawie, teraz w Galicyi nie osłabł wcale w zapale, szybko bowiem zapędził się wspólnie z Tarszeńskim aż do Lwowa i tu zaraz w komitecie rzecz całą przedstawił w odmiennem świetle. Ludzie przybywający — mówił — są to awanturnicy, wichrzyciele ciągli w emigracyi, którzy tam straciwszy opinię, nie mając co robić za granicą

puścili się bez celu i woli emigracyi do kraju, aby go w nowe nieszczęścia pogrążyć, jeśli się uda szlachtę wyrżnąć i na anarchii powszechnej swoje rządy założyć. „Ja mam — oznajmił Buleski — od komitetu narodowego upoważnienie, prowincye zorganizować, do przyszłych działań usposobić, co wspieram proklamacyą własnoręcznie przez Dwernickiego podpisaną“.[1]) Odczytana jednak proklamacya Dwernickiego nie potępiała zupełnie ruchu, była trzymana w ogromnej rezerwie, wahająca się jak jej autor, tak, że właściwie sens jej ogólny nie był jednobrzmiący z wywodami majora Buleskiego, nie było także zawarte w tej proklamacyi upoważnienie Buleskiego do jakiegokolwiek działania w imieniu komitetu Dwernickiego, mającego na celu organizacyę. Nie można także utrzymywać jakoby Krasicki zbytnio ufał Buleskiemu, miał on o nim sąd wyrobiony jeszcze z dawniejszych czasów,[2]) gdy Buleski bawił w Galicyi i kręcił się koło komitetu. Jest to jednak kwestya wielce ciekawa, czy Buleski wyjeżdżając w grudniu 1832 r. do Francyi nie miał w istocie żadnego upoważnienia w tej mierze od komitetu galicyjskiego. Tak należałoby przypuszczać na podstawie zeznań Zaliwskiego, który od Ulatowskiego, właściciela Laszek pod Lwowem, dowiedział się jakim sposobem Buleski wyjechał do Francyi. Sam mianowicie narzucił się z tem komitetowi, utrzymując, że konieczny jest emisaryusz galicyjski we Francyi dla nawiązania stosunków z emigracyą; Krasicki chcąc się go pozbyć udzielił mu z własnych funduszów 100 fr. Buleski wyjechał więc bez paszportu do Francyi, głosząc, że jest wysłannikiem komitetu galicyjskiego, na podstawie tego dostał też od Mikułowskiego w Dreźnie paszport i z końcem grudnia zjawił się w Paryżu. Utrzymuje dalej Zaliwski, że komitet dowiedziawszy się, że Buleski mieni się jego wysłannikiem, pismem wysłanem do Paryża zaprzeczył temu. Dalsza działalność Buleskiego jest już znana.

Tak twierdził Zaliwski, którego zeznaniom nie można bez zastrzeżeń wierzyć, bo z innej strony są dowody, że Buleski nietylko za wiedzą Krasickiego, ale i komitetu do Paryża się udawał. W rachunkach bowiem tego komitetu znajduje się pozycya na podstawie której żadnej nie ulega wątpliwości, że Buleski otrzymał z kasy komitetu a nie prywatnej Krasickiego, pieniądze na podróż

---

[1]) List Zarczyńskiego.

[2]) Protokół z Krasickim: „Z jego mowy (t. j. Bul.) wnosiłem, że o ludziach różnych źle mówił, siebie jednego za najświatlejszego wystawiał człowieka“.

w dość pokaźnej kwocie 153 franków, 9½ rubla i 219 florenów[1]. Z rachunku tego wynika ponadto, że major Buleski był również używany przez komitet i do innych misyi, mianowicie jako wysłannik do Rosyi w sprawach komitetu galicyjskiego.

Za kordonem bowiem wschodnim Galicyi, na Podolu i Wołyniu na sposób galicyjski odbywały się składki, które przesyłano na ręce komitetu wołyńsko-podolskiego we Lwowie, jego członkami byli Edward Jełowiecki, Józef i Herman Potoccy.[2] Nic bliższego i wiarygodnego ponadto o tym komitecie nie wiemy, bo dalsze zeznania Buleskiego, jakoby komitet ten źle zarządzał przysyłanemi sumami, z powodu czego użalał się nań przed Buleskim Kulczyński, przyczem miał polecić Buleskiemu, aby starał się wpłynąć na obywateli wołyńskich, żeby pieniędzy nadal do komitetu tego nie przysyłali, zdają się bardzo naciągnięte, tak, że trudno wyłowić z nich jądro prawdy. Powracając jednak do podróży Buleskiego do Paryża nasuwa się tu podejrzenie, czy misya Buleskiego do Paryża nie stała w jakim związku z misyą Pietkiewicza w Galicyi. Jak wykazaliśmy jest wszelkie prawdopodobieństwo, że Pietkiewicz z komitetem lub Krasickim tylko wszedł w pewne stosunki i że nie zyskał tu aprobaty, możliwe przeto, że w listopadzie lub grudniu 1832 r., a więc właśnie w tym czasie, kiedy Pietkiewicz bawił w Galicyi wysłał komitet Buleskiego, aby zasięgnął na emigracyi, u samego źródła bliższych szczegółów o przedsięwziętej wyprawie. Pietkiewicz oczywista nic o tem nie wiedział lub wreszcie wiedzieć nie chciał, ostrzegał przeto z Drezna, że „cokolwiek Buleski robi to wszystko nic nie znaczy, bo sam swoim dworem się rządzi i ze swej woli pojechał“.[3]

Co się tyczy dalszych oskarżeń Zaliwskiego jakoby Buleski groźbą zdrady wymógł pieniądze po powrocie z Francyi na Krasickim i obywatelach wołyńskich, z którymi przedtem miał jakakolwiek styczność w sprawach komitetu, nic pewnego o tem twierdzić nie można; zdaje się jednak, że takie krążyły pogłoski wśród obywatelstwa galicyjskiego, bo oskarżenie to powtarza również Dmochowski w liście do Pietkiewicza, a co ciekawsze, że suma otrzymanych pieniędzy w obu oskarżeniach jest zgodna:

---

[1]) Arch. kraj. Z. T. B. 2598. (Dodatek) „Bn. M. P. 153, 9½ zub. 219 fl. „Bn. M. ao R. 390 rub.“

[2]) Zeznania Buleskiego.

[3]) Rkp. zap. List Pietkiewicza do Lelewela 23-go stycznia 1833 z Drezna.

400 fr. [1]) Buleski w tej sprawie tyle tylko zeznał, że w istocie zagroził Krasickiemu wydaniem całej rzeczy t. j. jego współudziału w przygotowaniach do wyprawy rządowi, jeżeli nie zaniecha tego natychmiast i nie użyje wszystkich środków przeszkodzenia wyprawie.

Bądź co bądź, choć sprawa ta jest niejasna i zagmatwana wypływa z niej jedno, że Buleskiego praca w Galicyi nie była bez skutku, a jego wpływ na komitet nie był tak mały jak sądzą jego przeciwnicy. Zresztą i tak już odnoszący się od pierwszej chwili z rezerwą do wyprawy, jako wyszłej z innego środowiska, komitet, daremnie oczekując jakiegokolwiek porozumienia się z nim organizatorów wyprawy i jej uczestników, którzy już przybyli do Galicyi przedewszystkiem zaś samego Zaliwskiego, obecnie zapewne na skutek agitacyi Buleskiego powstrzymał nieco swą działalność pomocniczą. Rozpoczęło się od cofnięcia zasiłków pieniężnych, których dotychczas od czasu ostatniego porozumienia się z Tyszkiewiczem (w lutym) udzielano w większych sumach na cele partyzantki: odtąd pojedynczo tylko w małych kwotach dawano zapomogi partyzantom.

Nie przestawał jednakowoż komitet interesować się wyprawą i pragnął nadal w tym względzie porozumiewać się z Tyszkiewiczem. Za pośrednika użyty tu był poeta Wincenty Pol, którego Krasickiemu przedstawił był swego czasu sam Tyszkiewicz: on to został wysłany przez komitet do Tyszkiewicza, ażeby się z nim porozumiał w sprawie dalszego działania. [2]) Było to już po przekroczeniu niektórych oddziałów partyzanckich za kordon, więc po 19-tym marca, a jeszcze dotychczas nie uważał Tyszkiewicz za stosowne zawiadomić komitet o swojem zamianowaniu na organizatora naczelnego Galicyi, przeczuwał zapewne, jakie to wywrze wrażenie na komitet, zwlekał przeto, tem bardziej postępując niestosownie. Dopiero przybyłemu W. Polowi wręczył swoją i Tetmajera nominacyę, ażeby ją zawiózł do Lwowa i pokazał komitetowi. Wrażenie jakie wywarło to pominięcie zupełne i rozmyślne komitetu było rzeczywiście takie, jakiego się Tyszkiewicz obawiał. Przyjęto tę niespodzianą nominacyę z oburzeniem słusznem. Tego samego dnia zwołano jeszcze zebranie komitetu, na którem uchwa-

[1]) List P. do L. Tours 15-go sierpnia 1833: cytuje listy Dmochowskiego „Pokazało się w całej nagości głupstwo starego Dw. co takich szubrawców (Bul. i Tarsz.) niby za organa swe użył. Oni też chwyciwszy 400 flr. z komitetu groźbą denuncyacyi....

[2]) Pamiętnik literacki 1911 I., III.—IV. Materyały.

lono „przerwać wszystkie czynności, zamknąć kasę i rozjechać się do domu“.[1]) Tak więc, mniej więcej w dwudziestych dniach marca 1833 r. przestał istnieć komitet. Zniechęcenie jego było zrozumiałe: kiedy bowiem mimo nalegań rządu, który teraz bezwątpienia pilnie strzegł każdego kroku komitetu całego i każdego z jego członków z osobna, narażano się na przykre następstwa, przez przyjście z pomocą sprawie, nie leżącej żadną miarą w programie partyi, do której się komitet poczuwał, kiedy więc mimo tych ofiar z przekonań i bezpieczeństwa osobistego pogardzono niejako pomocą komitetu, pomijając ludzi, stojących dotychczas na czele wszystkich działań patryotycznych, żale komitetu były najzupełniej uzasadnione, a usunięcie się jego świadczy jedynie o wielkiem poczuciu taktu i zrozumieniu obowiązków obywatelskich. Istniało bowiem jeszcze inne wyjście z tej sprawy, oto zniweczenie autorytetem swoim wszelkich zabiegów i czynności partyzantów, ale tego środka nie mógł się chwycić komitet, na którego czele stał Ksawery Krasicki. W każdym razie jednak ten postępek Zaliwskiego i Tyszkiewicza stał się przyczyną pierwszą wyraźnego rozłamu wśród obywatelstwa galicyjskiego, gdzie utworzyły się dwa obozy sobie nieprzyjazne: arystokracya i dopiero się organizująca i zapuszczająca korzenie partya demokratyczna. Dotychczasowe bowiem próby Goszczyńskiego zorganizowania takiego stronnictwa upadły same przez się z chwilą rozpoczęcia działań Zaliwskiego i przybywających z nim z Francyi towarzyszy.

Rząd austryacki rozłam ten przeczuł już przedtem. Kraj — pisze arcyksiążę Ferdynand — podzielony jest na dwie partye, możniejszą arystokratyczną i słabszą demokratyczną, ta ostatnia czeka tylko sposobności odnowienia rewolucyi. Rozłam ten jednakowoż nie był przez rząd niemile widziany, spodziewano się bowiem, a nawet po części miano tę pewność, że partya arystokratyczna nie będzie od tego, aby udzielać rządowi pewnych wskazówek o działaniach zuchwałej w swem szaleństwie (tollkühn) partyi demokratycznej.[2]) Nadzieje te żywiły władze galicyjskie jeszcze przed właściwym rozłamem w społeczeństwie galicyjskiem (9-go marca) sądząc przytem, że z niezgody tej odniosą pożądany skutek, bo dosięgnięcie tych wszystkich, których się należało obawiać.

---

[1]) Zarczyńskiego list.

[2]) Arch. nam.

318
ggg

Zaliwski zapoczątkowawszy w ten sposób walkę partyjną w Galicyi, zamyślał przekroczyć granicę. Mimo jednak, że na ogół prawie żadnych przygotowań w Galicyi nie było, to przecież w cyrkule tarnowskim i w sąsiednim rzeszowskim, wielu było zwolenników przedsięwzięcia Zaliwskiego, którzy z pomocną mu przybyli ręką. Nie brakło domów obywatelskich, w których od czasu przejścia wojsk polskich stale przebywało po kilku emigrantów. Emigranci ci bądź to znajdowali w domach stałe zajęcie, jako guwernerzy lub oficyaliści dworscy, bądź też pozostawali tylko w czasowej gościnie, gdy niespokojne ich usposobienie gnało z miejsca w miejsce, od dworu do dworu. Do takich domów należał przedewszystkiem dom Franciszka Wiesiołowskiego w Wojsławiu, człowieka o wielkiej kulturze (czas jakiś był on nawet zastępcą dyrektora Ossolineum nim na to miejsce nie przybył Konstanty Słotwiński), cieszył się on ponadto ogólnem uznaniem i poważaniem, jako Deputat na sejm galicyjski. Dom wojsławski pozostawał w ścisłej przyjaźni z Tyszkiewiczami z Kolbuszowy, również siedzibą wielkiej liczby emigrantów. W Kolbuszowej samej mieszkał hrabia Jerzy Tyszkiewicz i brat jego najmłodszy Jarosław podczas gdy Wincenty czasowo tu tylko przebywał. Rodzina Tyszkiewiczów pochodziła z Królestwa i dopiero od roku 1806-go przebywała w Galicyi; jeden tylko z braci Henryk[1]) przebywał na Ukrainie, objąwszy po ojcu majątki, które ten tam posiadał. Z mniejszych domów nie odmawiały gościny emigrantom Łowczówek, który dzierżawił Łobeski, Mikołajowice Tetmajerów, Klecza własność dwóch braci Władysława i Henryka Sławińskich i inne. Nie trudno przeto było zebrać oddział partyzancki z tych emigrantów w tym cyrkule, bo każdy z nich bez domu i stałego bytu chętnie łączył się z taką bądź cobądź awanturniczą wyprawą, któraby im pozwoliła wrócić napowrót w rodzinne strony, a może nawet w razie udania się pozwoliła w nich na stałe pozostać. Motywy więc, które skłaniały ochotników do łączenia się z wyprawą były w znacznej mierze osobistej natury a czynniki ogólno ludzkie, pod których hasłem rozpoczynała się walka, odegrały tu rolę drugorzędną, u niektórych zapewne i podrzędną. Ci dawni wojskowi bowiem, którzy w niejednej bitwie w czasie rewolucyi

[1]) Arch. kraj. Protokoł z Jerzym Tyszkiewiczem: Rodem z Poniemunia w Król. pol. nad granicą litewską (lat 38) .... W r. 1812 lub 13 wstąpił do służby wojskowej w pułku ułanów ks. Schwarzenberga jako kadet, gdzie tylko kilka miesięcy służbę odbywał.

się odznaczyli, teraz przez tułaczkę całoroczną byli już zdemoralizowani poniekąd, wzięcie więc udziału w wyprawach partyzanckich miało u nich cechę raczej awanturniczą niż ofiarną. Oczywista, że uogólniać tego sądu nie można, bezwątpienia bowiem były tam i jednostki wyższego rzędu, ale tych było niewiele.

Pierwszy, który w oznaczonym terminie przekroczył granicę Królestwa z Galicyi w cyrkule tarnowskim, w nocy z 19-go na 20 marca był major czwartaków Kasper Dziewicki. Była to postać ze wszech miar ciekawa, możnaby powiedzieć typowa. W Paryżu należał do towarzystwa demokratycznego, a od czasu kampanii przed wkroczeniem do Galicyi z Różyckim, żył bliżej z Zaliwskim i został przez niego użyty do prac przygotowawczych po zakładach. Z powstania wyszedł Dziewicki w randze majora i wraz z innymi udawszy się na emigracyę, zamieszkał w zakładzie awiniońskim, gdzie należał do związków karbonarskich i masońskich. Był usposobienia gwałtownego, nieokiełznanego, ono też stało się powodem śmierci jego przyjaciela pułkownika Szlegla, którego niedługo przed wyprawą do Polski w pojedynku zabił. „Charakter jego gwałtowny — pisze Chodźko [1]) — i nieprzełamane postanowienie w zamiarach, które go cechowało zawsze, zmieniło się w pewien rodzaj wściekłości po nieszczęśliwym pojedynku ze Szleglem, swoim przyjacielem, którego zabił, a w którym sam ciężko był raniony; pojedynak ten odbył się na kilka miesięcy przed wyprawą, przy końcu 1832 r. w Avignon. Dziewicki po wyjściu z lazaretu cieszył się jedynie po śmierci przyjaciela tą myślą, że niedługo się z nim złączy i że zginie za ojczyznę i za wolność ludu.“ W istocie jako jeden z pierwszych wyrusza z Lyonu z paszportem na nazwisko Wantizki malarza rosyjskiego i jeden z pierwszych przybywa do Galicyi. Według wskazówek Zaliwskiego wstąpił w cyrkule wadowickim do Brandysa a ztąd podążył do tarnowskiego cyrkułu, z którego postanowił wkroczyć do Królestwa, do okręgu radomsko-opoczyńskiego w województwie sandomierskiem, dokąd został przez Zaliwskiego przeznaczony. Punktem przekroczenia granicy była wieś Górki, własność hr. Konstantego Russockiego; [2]) w miejscu tem miał Dziewicki zamiar przekroczyć Wisłę.

---

[1]) Rkp. zap. Nr. 38. Pamiętnik M. Chodźki, przypisek 17-ty o Dziewickim.

[2]) Z protokołu z Russockim (19/12 1833 — Nr. 190) Herbu Płomieńczyk rodem z Żegocina województwo krakowskie w Królestwie polskiem (lat 34), w r. 1823 przybył do Galicyi, ożenił się i w 1827 kupił Górki i Syrawą w cyrkule tarnowskim.

Przybywszy wprzód do Tarnowa zajechał do Hotelu de Léopol, dokąd zwykle zajeżdżała szlachta okoliczna, i gdzie rojno było od emigrantów, szukających wsparć pieniężnych lub zajęć w domach obywatelskich.

W istocie zastał tu Dziewicki Łobeskiego i zażądał kategorycznie pomocy w wyprawie, przedewszystkiem zaś koni. Z Tarnowa udał się do Mikołajowic do Tetmajera,[1] gdzie się zjechał z Zaliwskim, Dmochowskim i z innymi okręgowymi ze Szpekiem, Gecołdem, Łubińskim i Lewandowskim. Oddział dla Dziewickiego złożony z kilkunastu ludzi wkrótce się uformował. Zwerbowanym do wyprawy pod dowództwem Dziewickiego naznaczono punkt zborny we wsi Górkach. Tak więc weszli w skład tego oddziału przebywający w Wojsławiu Amilkar Bentkowski,[2] Józef Pisarski (Psarski)[3], Zagrodzki, Klimkiewicz, Lange[4], Avejde, Baczyński Eustachy[5], Lemberger (Remberger) lekarz 4-go pułku ułanów,

---

[1]) Rkp. rapp. Pamiętnik Chodźki. „Dziewicki pierwszy przybył do Galicyi z Emisaryuszy. Tu nie znalazłszy nic, wyjednał sobie kilkunastu ludzi uzbrojonych u Tetmajera, przyrzekając mu w przeciwnym razie, że mu bebechy rozporze i do stawu razem z nim wrzuci. Dziewicki dotrzymałby przyrzeczenia niezawodnie i dlatego mimo niewiadomości i braku przygotowań znaleziono mu kilkunastu ludzi i tyleż broni." — Ciekawe, że zachowanie się Dziewickiego przedstawia Russocki w zeznaniach podobnie; Chodźko jednakowoż pod wielu względami we własnym interesie przesadza pisząc o braku przygotowań.

[2]) Herbu Prawdzic, 21 lat rodem z Warszawy, stryj jego Feliks Bentkowski był profesorem uniwersytetu i dziekanem sztuk pięknych. Po ukończeniu 6 klas w Warszawie wstąpił H B. na wydział inżynieryi i budownictwa na uniw. warsz. i jako „amator" chodził na administracyę. Z rozpoczęciem rewolucyi został przyjęty do gwardyi przybocznej Chłopickiego, w styczniu wszedł do artyleryi pieszej w stopniu podchorążego, czas jakiś kształcił się jeszcze w szkole artyleryi następnie przeznaczony do trzeciej bateryi artyleryi pozycyjnej pieszej. Brał udział w bitwach pod Grochowem, Wawrem, Dębem, pod Iganiami, Ostrołęką, Międzyrzeczem, Kachowem, Rogóżnicą, Brześciem Litewskim, Opolem, Józefowem i Borową. Po bitwie pod Międzyrzeczem został ozdobiony srebrnym krzyżem. W randze podporucznika wszedł z korpusem Ramoriny do Galicyi. (234—31/XII. 1833).

[3]) Szlachcic rodem z Warszawy (lat 22), kształcił się u księży Pijarów, gdy wybuchła rewolucya wstąpił do 5-go pułku ułanów jako kadet. W randze podporucznika wszedł z Ramorinem do Galicyi. Pod Ostrołęką był ranny. — (208. 22/XII. 1833).

[4]) (Zeznania Przeorskiego) podoficer 4-go pułku liniowego.

[5]) (Zeznania Raczyńskiego) lat 19., urodzony w gubernii podolskiej w Kamieńcu pod.; był kancelistą w izbie skarbowej podolskiej od września 1831 do stycznia 1833. Opuścił służbę i umknął do

Błażej Przeorski[1]). Do wyprawy Dziewickiego przyłączył się także Łubiński (Konstanty Kawecki) zastępca okręgowy Leopolda Białkowskiego, który również okrąg swój posiadał w województwie sandomierskiem, złożony z obwodów sandomierskiego i opatowskiego, ale nie przybył jeszcze do Galicyi. Łobeski wyprawił z Tarnowa przybyłych z Wadowickiego cyrkułu, a po drodze przez Dziewickiego zwerbowanych Olhowskiego[2]). Edmunda Wysockiego[3]), Cybulskiego i Kurryamskiego (Kosobudzkiego)[4]). Prócz nich należeli jeszcze do wyprawy niejaki Chiż, Wroniecki i Wierzbięta.

Ogółem składał się więc oddział Dziewickiego z 17-tu osób prócz dowódcy. Broni dla oddziału tego dostarczyli ponajwiększej części Łobeski i Fr. Wiesiołowski (młodszy)[5]), ponadto żywo zajęli się wyprawą Chwalibóg ze Szczucina, exkapitan Lipowski z Maniowa i Różycki z Lenki zabawskiej w cyrkule tarnowskim; Russocki zaś przygotował dla partyzantów odzież. — Pod wieczór dnia 19 marca, wszyscy ci, którzy mieli wyruszyć, zebrali się w Górkach.

Między partyzantami krążyły przedziwne wieści, oto rozgłaszano, że car już został zabity, że Paskiewicza, gubernatora Warszawy czeka ten sam los, że Warszawa już powstała i wyrżnie

Galicyi, ponieważ nie mając dokumentów szlachectwa, obawiał się aby go nie zapisano do odnodworców i nie zmuszono do służby wojskowej.

[1]) (Zeznania), urodzony w Stanowie w sandom., (lat 26), w 1826 wszedł do służby wojska pol. do pułku saperów, 5 lat był prostym żołnierzem, w czasie rewol. został podof. Po upadku Zamościa zostawał w Królestwie, trudniąc się mularką w rodzinnem mieście. W r. 1832 przybył do Galicyi, do brata, w Kolbuszowej mieszkającego.

[2]) (Zeznania). ur. we wsi Rzęsna w wojew. kaliskiem, pow. sieradzki, (lat 32). Przed rewolucyą był 10 lat w urzędzie cywilnym, adjunktem kontroli głównej przy komisyi województwa mazowieckiego w Warszawie, a z rozpoczęciem rewol. 8/12 1830 wstąpił do 4-go pułku liniowego jako żołnierz szeregowy, następnie awansował na oficera. Był w bataliach pod Rachowem, Chmielnikiem, Grochowem, Dobcem, Dębem, Miłosna i Iganiami. Tu ranny w nogę od granatu, przebywał 2 mies. w lazarecie w Warszawie; Po upadku rewolucyi wyjechał do Krakowa i ztąd wszedł do Galicyi.

[3]) (Zeznania Olhowskiego), rodem z Kalisza ex wojskowy.

[4]) (Zeznania w Warszawie $\frac{1}{2}\frac{3}{5}$ maja 1833), rodem z obwodu sieradzkiego, (lat 21), podczas rewolucyi służył w 9-tym pułku jazdy sandomierskiej jako podoficer. Z Ramorinem wszedł do Galicyi.

[5]) Zeznania Raczyńskiego.

załogi wojska moskiewskiego, lub je uśmierci, zatruwszy studni w koszarach [1]). Wieści te rozgłaszane wśród partyzantów, poczęści przez nich same dokomponowane, miały służyć do pobudzenia ducha i dodania animuszu. Po sutej kolacyi, przez właściciela Górek urządzonej, przebrali się partyzanci w chłopskie sukmany, był to zarazem symbol idei, w której imię szli walczyć: „zemsty ludu" — za uzbrojenie służyły dubeltówki, pistolety, proch, kule i noże, niektórzy mieli puginały. Prócz tego dostawał każdy partyzant torbę i pożywienie na dni parę. Do tak uzbrojonych i do marszu przygotowanych przemówił Dziewicki — objawił im plan cały i zapewnił o pomocy Niemców i innych narodów. Najbliższym ich celem było przejście granicy a następnie mieli napaść w Staszowie załogę kozacką [2]). Potem czytał Dziewicki artykuły partyzanckie i zebrani złożyli przepisaną przysięgę.

Około północy ruszono ku Wisle, tam czekało na oddział dwóch przewodników z łodzią, która miała partyzantów pod osłoną nocy przewieźć na drugi brzeg, na terytoryum Królestwa. Przygotowania do przeprawy poczynił Russocki, który użył w tym celu poddanych wieśniaków ze swojej wsi [3]), sam zaś stał na brzegu podczas przeprawy, żegnając każdego z odjeżdżających słowami „Niech Was Bóg prowadzi, wkrótce i my za wami pójdziemy".

Przeprawiano się jedną tylko łódką po dwóch i trzech, by nie zwrócić uwagi na przeciwnym brzegu. — Najpierw przeprawił się Dziewicki z dwoma towarzyszami, następnie dopiero inni, dlatego też postępowała przeprawa bardzo powoli tak, że już świtało przy jej ukończeniu. Nadedniem więc stanął cały oddział w Królestwie i ruszył w głąb kraju drogą, wiodącą ku Połańcowi. Droga, którą się partyzanci posuwali, zupełnie była nieodpowiednią, ciągnęła się bowiem okolicą pozbawioną zupełnie lasów, całkiem równą; zewsząd roztaczało się czyste, nagie, jak zwykle na wiosnę pole; mała tylko brzezinka na tym wielkim obszarze jakie takie dawała schronienie [4]).

Oddział partyzancki, przechodząc zbrojnie przez wsie, i widziany przez pracujących w polu wieśniaków wystawiał się na największe niebezpieczeństwo, ludność bowiem [5]) nie omieszkała

[1]) Zeznania Kurryamskiego.
[2]) Zeznania Przeorskiego.
[3]) Nazwiska ich Józef Adamczak i Jędrzej Majocha.
[4]) Rkp. Ossol. Nr. 3380. Pamiętniki Klimkiewicza uczestnika wyprawy.
[5]) Przedewszystkiem stało się to przez ekonoma, wsi niejakiego Maja.

o zjawieniu się tych dziwnych, uzbrojonych gości zawiadomić straże kozackie. Po drodze spotkali partyzanci nawet kozaka, ale dość nieostrożni zostawili go w spokoju. Spotykanym chłom opowiadał Dziewicki, że nadejdą lepsze czasy, że zniesioną zostanie pańszczyzna i w tym właśnie celu oni przybyli da Polski, częstował chłopów i całował, równie przyjaźnie odnosił się Dziewicki do żydów.

Początkowo miał Dziewicki zamiar zaatakować załogę kozacką w Połańcu, złożoną z 26 ludzi, lecz czy to w myśl instrukcyi, która zakazywała w pobliżu granicy Galicyi staczać potyczki, czy też z obawy, jak zeznają niektórzy, zaniechano tego i postanowiono posuwać się dalej do Staszowa. Na czystem polu nieopodal Połańca oddział partyzancki odpoczywał w południe dnia 20 marca. Przemarżli i zniechęceni partyzanci czekali na dalsze rozkazy majora Dziewickiego, który naradzał się z Łubińskim nad planem działania. Nie wiadomo, z jakiego powodu powstała między nimi sprzeczka, która pociągnęła za sobą ten skutek, że Łubiński postanowił odłączyć się od oddziału. Możliwe także, że uczynił to Łubiński dlatego, że miał zamiar udać się do swego okręgu.

Dziewicki po owej burzliwej naradzie z Łubińskim zwrócił się do oddziału z zapytaniem, kto chce z nim iść a kto się do Łubińskiego przyłącza. Zgłosiło się dziesięciu za Dziewickim, z których siedmiu zostawił na miejscu, z trzema zaś t. j. z Raczyńskim, Kurryamskim i Olhowskim ruszył natychmiast w drogę przez lasek brzozowy w stronę Kielc. Niedługo posuwali się w tym kierunku, wkrótce bowiem napadnięci zostali przez oddział Kozaków, z którymi utarczka nie trwała długo. Pierwszy Olhowski dał ognia, ale spaliło na panewce, po krótkiej strzelaninie ulegli wreszcie partyzanci liczniejszemu patrolowi i wszyscy czterej żywcem schwytani zostali i zaprowadzeni na poblizki odwach[1]). Nim jednak jeszcze zdołano ich przesłuchać, poprosił Dziewicki o szklankę wody, z którą odwróciwszy się od kozaka, wsypał niewidocznie truciznę (arszenik) i otruł się w myśl „instrukcyi“ Zaliwskiego, która nakazywała raczej śmierć samobójczą, niż niewolę. Wracający z protokołu towarzysze zastali Dziewickiego konającego.

„Nie pójdę już do Kielc“ — powiedział do nich Dziewicki. W jednej izbie z konającym pokładli się wszyscy trzej na spoczynek, rano przebudziwszy się znaleźli już tylko trupa. Kurryam-

---

[1]) Klimkiewicz podaje, że Kozacy mieli tych 4 napaść popitych i śpiących w rowie.

ski. Olchowski i Raczyński zostali odwiezieni do Kielc, aby tam przed gubernatorem miasta złożyć zeznania. Reszta oddziału po śmierci wodza nie wykonała jego zamiaru i poszła w rozsypkę.

Łubiński tylko z częścią przy nim została poszedł w stronę swego okręgu, poczem wrócił do Galicyi, by razem ze swoim okręgowym Białkowskim następnie po raz wtóry wejść do Królestwa. Tych 7-miu zaś, których zostawił na miejscu Dziewicki, każąc im czekać na swoje przybycie pozostawionych sobie, nie wiedziało na razie, co czynić. W skład tego oddziału wchodzili Klimkiewicz, Lange, Wierzbięta, Pisarski, Zagrodzki, Chiż i jeden nieznanego nazwiska w oddziale jedynie pod przydomkiem Ułana znany [1]). Na czystem polu, zewsząd widoczni, czekali oni nadaremnie czas jakiś na zapowiedziane przybycie Dziewickiego, wreszcie spostrzegli, zbliżający się ku nim oddział kozacki, natychmiast przeto cofnęli się do jedynej brzezinki i w ten sposób uniknęli starcia z kozakami. W brzezince spotkali chłopa, od którego dowiedzieli się, że już cała okolica w ruchu, że ekonom, który ich widział przechodzących, dał o tem znać komendzie kozackiej, a ci z ludem spędzonym z wiosek idą teraz na partyzantów z obławą. Wobec tego postanowiło owych siedmiu zostać w lesie i ukryci na strychu w chacie u spotkanego chłopa, który był pobereżnikiem czekali na dalsze wiadomości. Tutaj doszły do ich uszu strzały, były to odgłosy potyczki, stoczonej przez Dziewickiego w pobliżu. Pod wieczór widząc, że znajdują się w położeniu krytyczem, postanowili za radą chłopa wydostać się z lasu kanałem, wiodącym do Wisły, który w owej porze był jeszcze po części zamarznięty; musieli to uskutecznić jeszcze w nocy bo do rana lasek byłby otoczony obławą i ujście z niego niemożliwe. Przeszli więc, nawpół wodą napełnionym kanałem ku rzece i przemokli pokładli się w łozach nad Wisłą niedaleko komory rossyjskiej, dokąd niedawno właśnie odstawili ich dowódcę i trzech towarzyszy. Przez trzy dni przeleżeli w zimnie w łozach, mając na pożywienie jedynie to, co im chłop z lasu z narażeniem własnego życia przynosił, co gorsza brakło im także pieniędzy, bo kasa ich oddziału była w ręku Dziewickiego i Łubińskiego. Dłuższy więc pobyt w łozach wobec chłodnej jeszcze pory roku nie był możliwy, udało się im wreszcie nakłonić chłopa, że przyrzekł im sprowadzić przewodnika z czółnem z galicyjskiego brzegu, który by ich nocą przewiózł do Galicyi. W nocy z 22/23 marca przybił w istocie chłop z czółnem

[1]) Klimkiewicz.

do brzegu pod miejsce, gdzie partyzanci siedzieli ukryci w łozach. Czółno było jednak zbyt małe, żeby się wszyscy pomieścić mogli, najpierw przeto przeprawiło się trzech. Klimkiewicz, Lange i Wierzbięta, a po resztę miał przewoźnik wrócić jeszcze tej samej nocy. Około godziny 8 w nocy przybili do galicyjskiego brzegu Wisły, tam gdzie znajdywała się komora celna austryacka w Otałęży, tu jednak zatrzymani zostali przez strażników celnych i zaprowadzeni na komorę, podejrzani o kontrabandę. Rozbrojono ich przeto i przeszukano, lecz, że nic przy nich podejrzanego nie znaleziono, nie posłano po oficera stojącego o $1/_2$ mili na wsi na kwaterze. Tymczasem wrócił przewoźnik po resztę pozostałą w łozach, a pojmani skracali sobie czas przez opowiadanie strażnikom niestworzonych rzeczy o rozruchach w Królestwie i o powstaniu, które już tam wybuchło. Około drugiej godziny w nocy przybyli czterej towarzysze, którzy z powodu własnej nieostrożności dostali się również w ręce strażników austryackich, podczas przeprawy bowiem śpiewali pieśni patryotyczne, czem zwabili straż na brzeg. — Tu na odwachu trzymać ich miano do rana posłali przeto strażnika po wódkę do karczmy, przy której pomocy uśpiono straż, dla lepszego skutku dosypując do napoju morfiny. Gdy spostrzegli, że straż już uśpiona, uzbroili się na nowo zgasili świece i pod osłoną nocy umknęli.[1]) Wypadek ten wywołał wielki rozruch w okolicy i zaalarmował władze, tembardziej, że nadeszła wieść z Rosyi o schwytaniu 5-ciu partyzantów t. j. Dziewickiego, Kaczyńskiego, Kurryamskiego, Olhowskiego i Przeorskiego.[2]) Ten ostatni bowiem odłączył się od oddziału, a gdy następnie na najętej furze chciał go dopędzić i za nim podążał do Staszowa został napadnięty przez dwóch kozaków i aresztowany.[3])

Dnia 20-go marca przeszedł również Zaliwski granicę Galicyi ze swoim oddziałem. Z Kolbuszowy, dokąd wyjechał był dla widzenia się z Tyszkiewiczem, odwiózł go tenże do Zbydniowa, własności dwóch braci Onufrego i Bogusława Horodyńskich.[4])

---

[1]) Pamiętnik Klimkiewicza. — Arch. krajowe Fasc. I.

[2]) Zeznania Przeorskiego.

[3]) Źródło do wyprawy oddziału Dziewickiego: Zeznania pojmanych w Królestwie Kaczyńskiego, Kurryamskiego, Olhowskiego i Przeorskiego; dalej zeznania w sądzie kryminalnym lwowskim Pisarskiego i Bentkowskiego, i obywateli Galicyi Łobeskiego i Russockiego. Pamiętnik Klimkiewicza w rękopisie (Ossolineum).

[4]) Arch. kraj. 206 21/XII. 1833. De Korsak — Onufry rodem ze Zbydniowa cyrk. rzeszowski (lat 34), Bogusław ([illegible]) [illegible]dsta-

którym przedstawiono plan i zamiar Zaliwskiego, jakoteż cel jego przybycia w te strony. Trzy dni blisko pozostawał Zaliwski w Zbydniowie razem z Dmochowskim, kryjącym się pod nazwiskiem akademika Misińskiego, i tu formowali oddział dla siebie. Przez ten czas utrzymywał Zaliwski bliskie stosunki z okoliczną szlachtą, która w tym celu przyjeżdżała do Zbydniowa, przedewszystkiem zaś interesowali się żywo tą sprawą i przygotowaniami do niej książęta Adam i Jerzy Lubomirscy z Rozwadowa i bracia baronowie Horochowie z Brzuzy. Werbowaniem ludzi do oddziału trudnili się dzierżawcy Tyszkiewiczów: Najmanowski z Rejowca i Bieliński z Kolbuszowy, zjednali oni trzech partyzantów: chłopa Jana Onasa z Rejowca (recte Wawrzyńca Larychiewicza), byłego wojskowego polskiego, Krokowskiego [1]) i Orkusza (Arkusza) również ex wojskowych polskich, bawiących w Weryni. Prócz nich należeli do oddziału Zaliwskiego Franciszek Nożyński, służący u Lubomirskiego w Rozwadowie, Polewski kanonier wojska polskiego [2]), Kozłowski żołnierz 6-go pułku piechoty i Michał Fiedorow mieszkaniec Kolbuszowy. Oddział Zaliwskiego składał się przeto z 9-ciu ludzi razem z dowódcą i Dmochowskim, mimo więc, że oddział ten nie dochodził minimalnej liczby, instrukcyą wskazanej, postanowił Zaliwski wkroczyć do Królestwa z cyrkułu rzeszowskiego, przeprawiając się przez San. Broni było poddostatkiem w Zbydniowie, dokąd ją dzierżawca Bieliński wraz z młodym Wiesiołowskim z Weryni nocą przewieźli. Była to ta sama broń, którą swego czasu dla wojska polskiego przeznaczono, teraz wydobyto ją z ukrycia. Wieczorem 20-go marca zebrał się oddział, umundurowany w czarne sukmany chłopskie — nad Sanem. Zaliwski zaś z Dmochowskim i Bogusławem Horodyńskim przybyli pod pozorem polowania bryczką, wiozac w niej ukrytą broń ze sobą. Do zgromadzonych nad rzeką przemówił Zaliwski, pouczając ich o obowiązkach. Partyzanci są apostołami, mówił Zaliwski [3]), którzy mają ogłosić wszędzie:

wieniu go z powrotem do Galicyi z Drezna, dokąd umknął dnia 13/1 1833, rodem ze Zbydniowa (lat 32), do szkół chodził w Galicyi następnie na uniwersytet w Warszawie w r. 1821 wstąpił do wojska do artyleryi konnej do r. 1824 w tym roku wrócił do Galicyi. Na początku 1831 wrócił do wojska polskiego i był porucznikiem przy legii nadwiślańskiej. Z Ramoriną wszedł do Galicyi.

[1]) Lub Kłokowski ekonom u Bielińskiego. (Zeznania Lachowskiego).

[2]) Zeznania Nożyńskiego.

[3]) Zeznania Nożyńskiego.

„wolność narodu, uwolnienie od podatku, uposażenie biednych majętnościami złych obywateli“. Tak przynajmniej pojęto jego wykład o obowiązkach partyzanta. — Przeprawę na Sanie przygotował już poprzednio Onufry Horodyński i dopiero wówczas, gdy wszyscy przeszli San rozdał Zaliwski broń swemu oddziałowi. Tu też pożegnali go obywatele galicyjscy i oddział ruszył za przewodnikiem ku granicy, którą w nocy jeszcze przekroczył. Dopiero wówczas złożyli wszyscy przepisaną przysięgę partyzancką i skierowali się w głąb kraju w kierunku Janowa. Zaraz na wstępie jeden z partyzantów zachorował i wrócił do Galicyi [1]), Onas zaś i jeszcze jeden partyzant już trzeciego dnia umknęli z oddziału, okradłszy Dmochowskiego i innych towarzyszy. Garstka pozostałych partyzantów wlokła się po lasach wciąż w kierunku Janowa a na koniec zaszła około 25-go marca w okolice Modliborzyc i Turobnia, tu przyłączył się do nich dezerter rossyjski szeregowiec. W Łopenikach przeprawili się przez rzekę Wieprz i znowu przez 4 dni, bo do 29-go marca błądzili po lasach. Zjednany dezerter rossyjski niedługo pozostał przy oddziale, po trzech dniach bowiem tułaczki po lasach sprzykrzyło mu się niewygodne życie, okradłszy przeto swych towarzyszy umknął w nocy. Według zeznań Nożyńskiego, ci wszyscy, którzy służyli przedtem w wojsku rewolucyjnem już 3-go dnia porzucili potajemnie oddział i umknęli do Prus, gdzie przedtem po ukończeniu rewolucyi listopadowej jakiś czas bawili.

---

[1]) Według zeznań Onasa był to Kokowski (może Krokowski).

Dr. Hermina Naglerowa.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Legendowe postacie zakopiańskie.

II.

Ksiądz Stolarczyk.

(1847—1893).

(Ciąg dalszy).

Oprócz Witkiewicza, który w swej świetnej książce poświęcił księdzu Stolarczykowi parę stron doskonałej charakterystyki, pisała o „Jegomości“ obszernie — obszerniej nawet, niż autor *Na przełęczy* — Marya Steczkowska w swych *Obrazkach z podróży do Tatrów i Pienin*. Znała ona „księdza proboszcza“ doskonale, bo bywając w Zakopanem przez dwadzieścia kilka lat z rzędu, z „Jegomością“ żyła w serdecznej przyjaźni, tak nawet, że nieraz, gdy z rodziną szła w góry, i ksiądz Stolarczyk przyłączał się do jej grona. Tak n. p. odbył z nią razem wycieczkę na Krzyżne. Ta długoletnia znajomość, przypadająca na lata 1856—1872, sprawiła w następstwie, że wizerunek księdza Stolarczyka, skreślony przez Steczkowską, jest najlepszym i najdokładniejszym ze wszystkich.

Dlatego należy się przypomnieć go *in extenso* dzisiejszemu pokoleniu. Oto odnośny ustęp z jej pięknej książki, niesłusznie zapomnianej zupełnie.

> Od r. 1847 Zakopane stanowi osobną parafię. Dawniej należało częścią do Chochołowa, częścią do Poronina. Kościółek tutejszy, niemal w środku wsi stojący, drewniany, malutki, zbudowany bez żadnych ozdób, bardzo schludny i sta-

rannie utrzymany. Ołtarze roboty prostego górala z pobliskiej wsi Gliczarowa, tak są zgrabne, że podziwiać trzeba zręczność wiejskiego rzeźbiarza. Roboty jego, nierównie piękniejsze, mają się znajdować w kilku kościołach w okolicy; tutaj szczupłość miejsca stanęła mu na zawadzie. Organy roboty Sapalskiego z Krakowa 1855 r. po największej części kosztem parafian, a staraniem księdza proboszcza miejscowego sprawione, mają głos tak piękny, że nie zrobiłyby wstydu niejednemu miejskiemu kościołowi. Tak aparaty, jak inne przybory, a nawet kosztowne naczynia kościelne. są pobożnemi darami ubogiego ludu.

Po lewej stronie kościółka stoi plebania, także z drzewa stawiana, z niewielkim od frontu ogródkiem [1]); po prawej jest cmentarz, w ostatnich latach pięknym obwiedziony murem, i organistówka, a zarazem szkółka miejscowa.

Łatwo sobie wyobrazić, jak smutne było — przed dwudziestu pięciu laty — położenie biednego ludu, który oddalony od kościoła, pozbawiony prawie zupełnie nauki słowa bożego, skutkiem tego zaniedbywał obowiązki religii... Górale zakopiańscy bardzo też umieją cenić szczęście i błogosławieństwo, jakie na nich spływa z ubożuchnego ich kościółka. „Jak zadzwonią — mówiła mi jedna kobieta, — to aż się serce raduje; przecież teraz jakoś nas bliżej Pan Bóg.“ Zaiste, wielkie Bóg dobrodziejstwo wyświadczył ludowi temu, ubogi wśród niego zamieszkując domek, i obdarzając go takim pasterzem, jakim jest obecny ksiądz proboszcz tameczny.

Ksiądz Józef Stolarczyk, objąwszy przed dwudziestu pięciu laty zarząd nowo-utworzonej parafii, zastał lud prawie dziki, w rzeczach religii w głębokiej pogrążony niewiadomości. Były w tym ludzie zarody dobrego, poczciwe skłonności, ale te drzemały w duszy, bo zasady religii, które jedynie mogą je rozbudzić, ożywić, upłodnić i w święty zamienić obowiązek, ledwie powierzchownie były mu znane. Ksiądz proboszcz, nie zrażony smutnym stanem biednego ludu,

---

[1]) Gościnny z natury, ks. Stolarczyk gościł u siebie nieraz wielu ludzi znakomitych. Między innymi mieszkał u niego kiedyś Jan Matejko. Jeszcze po dziś dzień na ścianie plebanii znajdują się kredkowe szkice twórcy Kazania Skargi, wyobrażające trzech dyabłów w niesłychanie śmiesznych i zabawnych pozach, narysowanych z niesłychanym humorem. Godziłoby się je odfotografować, póki czas...

z chrześciańską miłością, ojcowską dobrocią, a przytem z rzadkim rozsądkiem i taktem, zajął się rozkrzewieniem, pomiędzy trzódką swoją, błogich religii i moralności zasad, złagodzeniem szorstkich obyczajów tych dzieci surowej przyrody, i rozszerzeniem wśród nich oświaty, o jakiej dotąd nie mieli nawet wyobrażenia. Pobłogosławił Bóg gorliwej pracy: usiłowania szanownego pasterza pożądany uwieńczył skutek. Dziś Zakopianie w znajomości religii, w poczciwości, w zewnętrznej ogładzie, w oświacie, daleko zostawili za sobą innych galicyjskich włościan. Z ułatwionem wypełnianiem obowiązków religii i ciągłą do tego zachętą wzrasta pobożność Zakopian i wpływ swój błogi na całe ich życie wywiera. Ich zdanie się na wolę Boga, ten najpiękniejszy prawdziwej pobożności owoc, budowało mię zawsze i prawdziwym szacunkiem dla nich przejmowało. Pozwolę sobie przytoczyć choć jeden przykład. Pewnemu gaździe dobrze nam znajomemu padło w krótkim czasie 30 owiec i zabiła się w lesie dwuletnia jałówka. Gdyśmy rozmawiali o tem nieszczęściu z jego żoną, użalając się nad nią, ta złożyła ręce, uśmiechnęła się i rzekła: „Moi piękni, to wszystko od Boga; dobrze, co którego z nas nie zabrał, cośmy wszyscy zdrowi.“ I łzy wdzięczności zabłysły w jej oczach w niebo wzniesionych. I ja także poczułam łzy pod powieką, a na twarz wystąpił rumieniec wstydu, bo jakże to daleko do tej prostej chrześciańskiej filozofii nam, co się chlubimy niby wyższym na rzeczy poglądem.

Co niedziela tłumy ludu, nie mogąc się pomieścić w szczupłym kościółku, oblegają go dokoła. W czasie nabożeństwa lud, wyuczony przez proboszcza, śpiewa przy towarzyszeniu organów. Nigdzie w naszych stronach nie zdarzyło mi się słyszeć tak miłych, czystych, zgodnych głosów. Nie wiem, jak komu, ale dla mnie śpiew ten pobożny, prosty, złączony z poważną organów harmonią, daleko silniej do duszy przemawia, niż owe uczone śpiewy i huczna muzyka, jakie słyszymy po kościołach naszych.

Po południu dzwonek zwołuje lud na katechizm. Po katechiźmie następuje nauka śpiewu, którą zajmuje się także sam ksiądz proboszcz, potem litania do Najświętszej Panny i suplikacye. Po skończonem nabożeństwie, lud, śpiewając pieśni nabożne, rozchodzi się do domów swoich, a góry otaczające dolinę, długo jeszcze świętem brzmią echem.

Szanowny pasterz nietylko z kazalnicy wpływa zbawiennie na parafian swoich, ale niemniej korzystnie działa na nich w codziennem przestawaniu z nimi. Wyższe wykształcenie naukowe, wesoły i miły humor, szacunek, jaki sobie umiał zjednać powszechnie, nie przeszkadzają mu bynajmniej, iż obcuje najchętniej z poruczonym swej pieczy ludem, z którym w prawdziwie patryarchalnych zostaje stosunkach. Zna doskonale każdego ze swoich parafian: ich kłopoty, zmartwienia, rodzinne stosunki, znane mu są najdokładniej. Posiada zupełne ich zaufanie; słowa jego są dla nich wyrokiem; bez jego rady i przyzwolenia nie skojarzy się żadne małżeństwo; a jeżeli gdzie zaszło jakie zwaśnienie, za jego nastawaniem spory się godzą. W każdej potrzebie śpieszą do księdza proboszcza po radę, z tem zaufaniem, śmiałością i uszanowaniem, z jakiem dzieci przystępują do ojca. Nawet i bez żadnego interesu przychodzą na plebanię często tylko na pogawędkę.

Ksiądz proboszcz odwiedza także ubogie ich chatki, a te rozmowy są dla nich z wielką korzyścią, bo tym sposobem z łatwością nabywają różnych użytecznych wiadomości, o czem przekonać się można przy bliższem zetknięciu się z tutejszym ludem. W jednej z naszych wycieczek w góry, nocując w szałasie, byliśmy prawdziwie zdumieni dobrem pojęciem obrotu ziemi, planet. słowem całej gwiaździstego nieba budowy, jakie miał nasz przewodnik. prosty góral. Pytamy go, skąd wie o tem wszystkiem? — „O, my to ta z księdzem proboszczem nieraz do północy o tych gwiazdach radzimy“ — odpowiedział. — Nie są im obce krajowe, a nawet europejskie stosunki, o ile rozumieć je mogą; znają powody toczących się wojen, nazwiska monarchów, znakomitych wodzów, ministrów i dygnitarzy, szczególniej krajowych. Miły to i pocieszający widok, jak w czasie Sejmu galicyjskiego górale, zebrani w niedzielę przed kościołem, czytają z największem zajęciem protokoły sejmowe, ciekawi obrotu spraw krajowych i głosu posłów, których znają nietylko z nazwiska, ale nieraz ze sposobu myślenia.

Ksiądz Stolarczyk, przywiązany szczerze do tego ludu, od niego nawzajem jest kochany. Nie wspomną o nim bez pochwał, płynących z wdzięcznego serca, bo górale pochlebstwa nie znają. „Takiego księdza, jak nasz, to nigdzie niema; on jak spojrzy na człowieka, to zaraz zgadnie, co myśli;

przed nim zmyślić nie można“ i t. p. W czasie wyboru posła na Sejm, odbywającego się przed kilku laty w Nowym Targu, wdzięczni Zakopianie oddawali publiczne pochwały swemu czcigodnemu pasterzowi. Gdy przed trzema laty ksiądz Stolarczyk odbywał pielgrzymkę do Ziemi Świętej, ksiądz zastępujący go przez ten czas, ledwie nie codzień odprawiał mszę św., zamówiony przez parafian na intencyę swego proboszcza. Dzieci przy wieczornym pacierzu odmawiały zawsze modlitwę o szczęśliwy jego powrót.

Gdy wreszcie tym prośbom stało się zadość, ksiądz proboszcz, zadowolony ze swej podróży, już nie myślał o żadnym nowym wojarzu, ale za to wcale nie zrezygnował z dalszego chodzenia po górach.

Że apostolska praca księdza Stolarczyka wśród górali zakopiańskich i okolicznych wydała po latach dwudziestu błogosławione owoce, to obok wielu innych stwierdził w roku 1869 w swym Urywku z podróży do Tatr i Pienin, odbytej w r, 1860, Leon Rzecznowski, zamieszczonym w „książce zbiorowej“ p. t. Kłosy i kwiaty. We fragmencie tym, wcale gruntownie opisującym „zatrudnienia i sposób życia górali i podhalan“, ich „wsie i mieszkania“, ich ubior, ich urodę i powierzchowność, ich język i „niektóre jeszcze cechy charakterystyczne“, jest także jeden rozdział, poświęcony „religijności i obyczajom“ górali, a niewątpliwie oparty nietylko na własnej obserwacyi, ale i na informacyach, zasiągniętych u ks. Stolarczyka. Oto ważniejsze zasadnicze ustępy z tego rozdziału:

Górale tatrzańscy, otoczeni lubo poetyczną, ale dziką naturą, swoich wrodzonych uniesień, silnych wybuchów namiętności nie byli panami; stąd to między nimi dawały się widzieć okropne przykłady zemsty, skłonności do pijaństwa; lecz od czasu, kiedy otrzymali światłe i gorliwe duchowieństwo, zmienili całkowicie swoje obyczaje. Wpływ dobrych kapłanów położył zdaje się na zawsze koniec owym niegdyś jeszcze tak głośnym zawziętym bijatykom, a nawet i pijaństwu. Teraz wszędzie tam cicho, spokojnie, największa wstrzemięźliwość; o rozbójnikach górskich, owych opryszkach, niegdyś tak głośnych, dziś tylko pozostało podanie.

Górale codziennie schodzą się na ranne nabożeństwo do kościoła, przynajmniej ci, którzy bliżej świątyni mieszkają

i więcej mają wolnego czasu. W dnie świąteczne lud z całej parafii zgromadzony nie opuszcza kościoła od rana do wieczora. Górale słuchają z największem duszy upragnieniem kazań i nauk kościelnych, spowiadają się bardzo często. Każdy prawie góral, wszedłszy do kościoła, obchodzi na klęczkach cały wielki ołtarz wokoło; widywałem i takich, co cały kościół obchodzili po cmentarzu kościelnym na kolanach. Kapłani, pouczając dobrze znany im lud, zapytują ich tak po imieniu, jak nauczyciele uczniów, dla przekonania się, czy dobrze uważali i zrozumieli wykładany im przedmiot religijny. Takie zapytania dają się nietylko dzieciom i młodym, ale i starym. Duchowni za swą naukę i gorliwość zyskują serca swoich parafian, którzy patrzą na nich, jako na swych ojców duchownych; w różnych wątpliwościach religijnych dają zapytania swoim kapłanom i otrzymują od nich chętną i jasną zawsze odpowiedź. W góralskich wsiach na Podhalu kapłan jest nietylko osobą duchowną, ale razem i patryarchą swoich parafian. Do jego mieszkania schodzą się górale po pomoc, radę, pociechę we wszystkich przygodach i potrzebach, a w razach nieporozumień i sporów wybierają kapłana na swojego sędziego polubownego, na którego wyroku najczęściej poprzestają.

Przez kilka tygodni bawiąc w Zakopanem i częstym bywając gościem u tamecznego plebana, księdza Józefa Stolarczyka, poznałem naocznie ten stosunek patryarchalny, jaki się tam utrzymuje między ludem i kapłanem. Kapłani góralscy, wyszli z łona ludu prostego, znają go gruntownie i jako światli i szczerze religijni przyświecają góralom nauką i dobrym przykładem. Nadto wielką odznaczają się troskliwością i dbałością tak o utrzymanie ludu w religii, dobrych obyczajach, jakoteż nieobojętni są na ich pomyślność i dobrobyt.

Prawdziwą było dla mnie nowością, gdym znajdując się na kazaniu w kościele, słyszał, jak całe zgromadzenie pobożnych wypowiadało jednozgodnie swoje podziwienie lub zadumę na głos kapłana kręceniem lub kiwaniem głowami i wykrzyknikami: „oho! ho! to tak?“ i t. p. Niektórzy kapłani tameczni nie przemawiają do ludu w świątyni inaczej, jak jego ludowym językiem; to wszakże jest wyjątkowem.

Wszystko, co Rzecznowski napisał o księżach na Podhalu wogóle, odnosi się w pierwszym rzędzie do księdza Stolarczyka i jego stosunku do górali z Zakopanego.[1])

O tym stosunku Podhalan do swych kapłanów, a szczególniej o stanowisku ks. Stolarczyka wśród Zakopian niemniej trafnie pisze August Wrześniowski:

> Proboszcze po wsiach góralskich po większej części sami są góralami, należąc więc do tego samego społeczeństwa, w którem występują jako pasterze, dokładnie znając zalety i wady swych parafian, oraz nie będąc ani fanatykami, ani zaślepionymi ultramontami, pospolicie wywierają zbawienny wpływ, łagodząc obyczaje i siejąc prawdziwą moralność. Ksiądz kanonik Stolarczyk, proboszcz zakopiański, pięknym jest przykładem wzorowego pasterza, którego nawet różnowiercy szacunkiem swym obdarzają. Pod jego zbawiennym wpływem cywilizacya wielkie w Zakopanem czyni postępy; obyczaje poprawiły się i ciągle poprawiają, a obiedwie płcie bardziej są we wzajemnych stosunkach powściągliwe.
>
> Podhalanin chętnie zawiązuje rozmowę, przyczem ma zwyczaj siadać obok zagadniętej osoby bez względu na jej stanowisko towarzyskie, wyjąwszy tylko osoby duchowne, dla których wielki ma szacunek. Siadanie wobec księdza, przynajmniej bez wyraźnego zaproszenia z jego strony, jest w oczach Podhalan wielką nieprzyzwoitością. W Zakopanem górale radzi odwiedzają *jegomościa*; w lecie odwiedziny odbywają się na ganku. Proboszcz siedzi na ławce, a góral, wyjąwszy szczególnie poważnych gazdów, pospolicie stoi na zewnątrz ganku oparty o jego poręcz i gawędzi, zachowując

---

[1]) Wład. Ludwik Anczyc w swym artykule *Zakopane i lud podhalski* tak pisze w r. 1874 o księdzu Stolarczyku: „Kiedy parafii w Zakopanem nie było, górale nie mieli chęci biegać o dwie mile do kościoła w Chochołowie, a wielu pacierza nie umiało. Dopiero, gdy przed dwudziestu kilku laty wystawiono kościół, zmieniło się to na lepsze. Nowy proboszcz, do dziś dnia zarządzający kościołem, ksiądz Stolarczyk, obchodził chatę po chacie, namawiając mieszkańców, aby uczęszczali do kościoła i spowiedzi; udzielał im rad i bardzo zbawiennie wpłynął na poskromienie ich namiętności. Zbójnictwo ustało zupełnie, a rozpusta i pijaństwo znacznie się zmniejszyły. Tak to religia przykładem żywym zbawienności wpływu swego tutaj dowiodła."

się z całą uprzejmością i uszanowaniem. Pewnego razu podczas takiej gawędki przyszła do proboszcza para górali z Olczy z prośbą o danie im ślubu i oznaczenie odpowiedniego dnia i godziny. Przyszły pan młody rozsiadł się na ławce i siedząc rozmawiał. Obecny przy tem Zakopianin, nie mogąc powstrzymać swego oburzenia, zwrócił się do narzeczonej i rzekł: „Ty ta jego nie bierz, bo on jakić chory, zaraz sobie siędnął!“ Tym sposobem w bardzo delikatny sposób przymówił on gburowatemu olczaninowi, że jego zachowanie się mogłaby tylko choroba uniewinnić, ale w takim razie nie byłby odpowiedni na małżonka. To odezwanie się Zakopianina zasługuje na szczególną uwagę, albowiem doskonale maluje podhalski sposób mówienia pośrednio, a nie wprost. gdy chodzi o mniej przyjemny dla słuchającego przedmiot.

Ferdynand Hoesick.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Germanizacya Śląska Cieszyńskiego

w II-giej połowie zeszłego wieku.

Wspomnienia i zapiski.

Ludowi śląskiemu w hołdzie.

Cieszyn w latach 1850—1860.

Paweł Stalmach w pamiętnikach swoich, dotychczas niestety drukiem nie ogłoszonych[1]), opowiada, że Cieszyn w czasie pomiędzy rokiem 1850 a 1860 był prawie całkiem polskiem miastem, że ilość Niemców była w nim wtedy tak nieliczna i mało wpływowa, iż skromne nawet przedsięwzięcia z cechą niemiecką rzadko kiedy się udawały.

Charakter niemiecki, jakim nacechowane są obecnie miasta księstwa cieszyńskiego, zwłaszcza zaś Cieszyna, głównie nadany im został w ciągu ostatnich lat trzydziestu ubiegłego stulecia. Wprawdzie germanizacya szerzyła się i dawniej pod wpływem szkół niemieckich, kościoła, urzędów i t. p. czynników, ale nie posiadała tego natężenia, jakie datuje się zwłaszcza od czasu wojny francusko-pruskiej. Zwycięstwo Prusaków, które spotęgowało do ostatecznych granic ich zaborcze instynkty i stało się punktem wyjścia do zażartego prześladowania braci naszych w Wielkopolsce, Prusiech i na Śląsku, rozbudziło także i w Niemcach Śląska

---

[1]) Praca to nadzwyczaj ciekawa, obejmująca oprócz wspomnień osobistych wiele szczegółów historycznych, nie pozbawionych wartości dla badania dziejów, doprowadzona jednak tylko do czasów pomiędzy powstaniem 1863 r. a wojną prusko-austryacką w r. 1866. Znajduje się w posiadaniu ks. Józefa Londzina.

austryackiego gwałtowny szowinizm i namiętną żądzę wynaradawiania narodowości słowiańskich.

Instynktom tym nie trudno było dać upływ. Zwłaszcza ludność polska na Śląsku cieszyńskim była bardzo podatnym materyałem dla usiłowań tego rodzaju: uległa, łagodnego i powolnego temperamentu, z małym poczuciem odrębności narodowej, pozbawiona nadto inteligencyi rodzimej, z pewnym fatalizmem poddawała się prądom idącym z góry i dość szybko się germanizowała. Taka była charakterystyka ogólna ludu tamtejszego. Ale warunki bytu na wsi są na tyle różne od warunków w mieście, choćby tak małem jak Cieszyn, germanizacya tak dmiennemi tu i tam rozporządza środkami i tak różnej siły, że naturalnie i wyniki jej musiały być niejednakowe.

Co do ludności wiejskiej w Księstwie, to już w epoce założenia gimnazyum polskiego w Cieszynie (r. 1895), można było tuszyć sobie, że niebespieczeństwo zupełnego jej zniemczenia zostało powstrzymane. Inaczej jednak sprawa przedstawiać się musiała, jeżeli chodziło o ludność polską po miastach. Tu nie było jeszcze szkół polskich, które wieś miała od dłuższego czasu, tu otoczenie, które ton miastu nadaje, było z gruntu niemieckie lub zniemczałe. Wynaradawianie zawsze i wszędzie rozpoczyna się po miastach i z nich falami spółśrodkowemi rozlewa się po prowincyi. Kto chce zapanować nad danym krajem, kto chce narzucić mu obcą barwę, zaszczepić obcą kulturę, w miastach sobie obiera siedzibę i w nich przedewszystkiem działalność swoją rozpoczyna. Któż może dziwić się Niemcom, że na Śląsku zwykłej użyli taktyki. Każde z miast śląskich traciło pierwotny charakter polski i nabierało cech niemieckich niemal w stereotypowo jednaki sposób, z wyjątkiem może Bielska, którego niemieckość była podtrzymywana oddawna przez ludność okoliczną niemiecką, osiadłą tam jeszcze w XIII. wieku po najściach Tatarów. Druga różnica pomiędzy Cieszynem a Bielskiem polegała na tem, że pierwszy z dawien dawna był stolicą,ześrodkowującą w sobie życie całego Księstwa, drugi zaś w epoce lat 1850—1860 był nędzną dziurą, nie zasługującą nawet na nazwę miasteczka, nie miał właściwie domów, lecz ubogie lepianki, tymczasem już 25 lat temu t. j. około r. 1895 był bogatem miastem, mającem pozór całkiem europejski, a to dzięki nadzwyczajnemu wzrostowi przemysłu.

Jeżeli tedy przedstawimy szkicowo, jaką drogą kroczyła germanizacya w takim Cieszynie, to tem samem otrzymamy obraz,

dający nam dostateczne wyobrażenie o tem, co i jak działo się w innych miastach w tym samym czasie.

Rozwój Cieszyna w ciągu drugiej połowy ubiegłego wieku postępował powoli, stopniowo, bez gwałtownych ruchów. W r. 1858 liczył mieszkańców 9062, w r. 1869 — 9779, w r. 1880 — 13.004, w r. 1890 — 15.220, zaś w roku 1897 niespełna 17.000, czyli zatem w ciągu lat 38 liczba mieszkańców nie zdołała się nawet podwoić. Pod względem wyznaniowym wśród ludności Cieszyna w ciągu tego czasu zaszły następujące zmiany. Liczba ewangielików z 10% w r. 1858 wzrosła do 22·25% (3387 głów) w r. 1890. Procent żydów w r. 1858 był nadzwyczaj mały, liczono ich bowiem wtedy zaledwie 225 głów czyli 2·48% ogółu ludności miasta. W r. 1890 było żydów 1313 głów czyli 8·63%. W r. 1896 liczba żydów w Cieszynie wzrosła do półtora tysiąca i temu to znacznemu napływowi elementu semickiego, oczywiście z Galicyi, w dużym stopniu przypisać należy wzmocnienie germanizacyi Cieszyna. Napływ żydów do Bielska był o wiele silniejszy i tembardziej przez to wzrosła tam potęga niemczyzny. W r. 1890 liczył żydów 1977 głów czyli 13·56% (na 14.573 mieszkańców), w roku zaś 1896 przeszło 2.000.

Polak Klucki burmistrzem Cieszyna.

Liczebności Niemców w owym roku 1858 nie znamy, wiadomo wszakże skądinąd, że były to czasy, gdy żywioł polski miał jeszcze znaczną przewagę nad niemieckim. Znamiennym tego dowodem była przedewszystkiem ta okoliczność, że w r. 1850, przy pierwszym autonomicznym wyborze miejskim, powołano na burmistrza polaka, dra Ludwika Kluckiego, adwokata, który był jednym z pierwszych budzicieli ruchu narodowego; on to był w początkach wydawcą „Gwiazdki Cieszyńskiej", gdy jeszcze zwała się „Tygodnikiem", on współdziałał ze Stalmachem przy założeniu Czytelni Polskiej w r. 1848, zamkniętej następnie przez rząd w r. 1854, a w r. 1861 przyczynił się do otworzenia Czytelni ludowej i t. d. Drobnym ale niemniej charakterystycznym szczegółem, dowodzącym jego ducha polskiego, było, iż synom swoim nadał imiona czysto polskie: Sobiesław i Stanisław [1]).

[1]) Obaj na dobre się zniemczyli, zwłaszcza pierwszy, będący następnie adwokatem w Cieszynie, dr. Sobieslaus Kluki, jak kazał się nazywać. Przez wiele lat należał jawnie do obozu liberalnego, który

Oto jeszcze parę szczegółów z jego życia. Urodzony w r. 1801, adwokatem w Cieszynie był od r. 1831 do 1864, w r. 1848 był komendantem z wyboru gwardyi narodowej, przez wiele lat piastował urząd komendanta uprzywilejowanego towarzystwa strzelców miejskich; jako burmistrz rozwijał wielce dobroczynną działalność. postarał się o założenie domu sierocego, założył kasę oszczędności i t. p. Umarł w r. 1877.

Z czasów burmistrzowstwa Kluckiego. które trwało tylko lat 10 t. j. do r. 1861, możemy przytoczyć parę szczegółów następujących. Do roku 1860 tablice z nazwami ulic w Cieszynie istniały nie wszędzie, a jeżeli były, to przeważnie polskie, po części niemiecko polskie, ale zgodne z nazwami. używanemi przez ludność polską. W kwietniu tego roku, pod naciskiem faktu, że element niemiecki zwiększył się dość znacznie, rada miejska uznała za konieczne przybić wszędzie po rogach nowe tablice z napisami podwójnemi, po niemiecku i polsku. A więc obok nazwy *Głęboka* dodano *Tiefgasse,* (później przechrzczono ją na Erzherzogin Stephanie-Strasse), *Wyższy Rynek* obdarzono dodatniem *Oberring, Przykopę* przechrzczono na *Muhlgraben,* przy nazwie *Bracka* dodano łokciowy napis *Dreibrüderbrunnengasse*[1]). ulicę Polską przezwano *Polnische,* a później za starego Demla zmieniono na *Deutschegasse,* bo ulicy „polskiej" w mieście „niemieckiem" tolerować nie należało. Później parokrotnie zmieniano jeszcze tablice. ale nazwy polskie pozostawiano, dopiero w r. 1893 rada gminna większością głosów uchwaliła nazwy polskie zupełnie usunąć, tak, że od tego czasu zostały tylko nazwy niemieckie. Przeciwko tej uchwale 100 znaczniejszych obywateli, między nimi nieco Niemców nawet. wy-

---

go parokrotnie obdarzał mandatem poselskim; przestał posłować do Rady państwa w r. 1896. Drugi, były c. k. oficer, był właścicielem dóbr Kozy pod Białą, wybierany z okręgu wielkiej posiadłości Wadowice-Biała-Żywiec-Myślenice do Wiednia. gdzie udawał Polaka, gdy tego było potrzeba: znany był w Izbie poselskiej. jako specyalista od zamykania dyskusyi stereotypowem „Ich beantrage zum Schluss der Debatte!" — Był także marszałkiem Rady powiatowej w Białej.

[1]) Przy tej ulicy stoi *Studnia Bracka* z napisami w języku łacińskim, polskim i niemieckim, postawiona na pamiątkę założenia Cieszyna przez trzech braci Piastowiczów Leszka, Bolka i Cieszka (albo Cieszymira). którzy po długiej rozłące, jak mówi legenda. w tem miejscu spotkać się mieli roku 810 i wtedy miastu dali początek. W tej pięknej legendzie dopatrzeć się można analogii z losami Polski, która rozdarta na trzy części, obecnie zrastać się zaczyna w jedną całość.

stosowało protest, ale bez skutku. Ludność polska po trochu zaczęła zapominać dawne nazwy polskie i zdarzało się coraz częściej, że używano tylko nazw niemieckich np. ulicę *Saską Kępę* już w epoce 1895—1896 roku nazywano nie inaczej jak *Sachsenberg.*

W październiku 1860 r. odbyła się uroczystość 1050 rocznicy założenia miasta. W programie pierwotnym miano wygłosić mowę polską i niemiecką, ale ostatecznie zaniechano mów zupełnie „z powodu różności zdań — jak pisze ówczesna *Gwiazdka* – ażeby nie naruszono zgodności różnych religii i narodowości, czem się zawsze odznacza miasto nasze“. Widocznie, przy tej zgodności, coś zaczynało się psować, skoro dla spokoju, aby nie drażnić się wzajemnie, przełożono złote milczenie nad srebrne mowy.

W rok potem, bo 4. października 1861 roku, przy poświęceniu nowo zbudowanej szkoły „głównej“ (Hauptschule), spisano się lepiej, umożliwiając ks. katechecie dr. Jerzemu Prutkowi przemówienie w języku polskim. Ów Prutek, jeden z niewielu działaczy nad odrodzeniem w epoce pomiędzy r. 1848 a 1860, w r. 1861 wybrany potem do sejmu z gmin wiejskich, wkrótce potem przeszedł do obozu niemieckiego, za co wdzięczna zniemczona rada miejska jednej z ulic nadała jego nazwisko. W r. 1874 Prutek był ekskomunikowany przez biskupa za wyznanie wiary, przeciwne zasadom kościoła katolickiego.

Jak słabą była jeszcze wtedy niemczyzna zarówno w Cieszynie jak i w Bielsku, na dowód parę szczegółów z historyi prasy śląskiej. W Bielsku od 1. stycznia 1857 r. wychodzić zaczął pod redakcyą księgarza Zamarskiego „Bielitzer Wochenblatt“, który po trzech miesiącach słabej wegetacyi zszedł z widowni. Natomiast „Gwiazdka Cieszyńska“ cieszyła się znacznem powodzeniem i tak naprz. krakowski „Czas“ w r. 1859 „zazdrościł „Gwiazdce“ licznych jej przyjaciół i popleczników i nieraz jej z tego powodu dogadywał“. Istniejący zaś w Cieszynie od maja 1860 r. „Schlesischer Anzeiger“ (pod redakcyą i nakładem Karola Prochaski) w październiku następnego 1861 roku ubolewał z powodu upadania czytelni niemieckiej i założenia czytelni ludowej (polskiej). Pismo to wkrótce samo upadło, poczem do chwili powstania „Silesii“ nie było w Cieszynie pisma niemieckiego, wskutek czego przy zakładaniu kamienia węgielnego pod szkołę realną w tymże jeszcze roku włożono tylko jedną gazetę, a była nią *Gwiazdka Cieszyńska.* Warto też tu przypomnieć, że *Gwiazdka,* założona w r. 1848, wyprzedziła wiele innych gazet polskich nawet w większych miastach. Tak

naprz. z dzienników warszawskich w owym roku istniały zaledwie dwa, a mianowicie *Gazeta Warszawska*, założona jeszcze w wieku XVIII. i *Kuryer Warszawski*, założony w r. 1820.

Burmistrzowstwo Johanna Demla.

Z objęciem zarządu miejskiego w Cieszynie przez dra Johanna Demla, które zaszło z końcem r. 1861, rozpoczęła się germanizacya w tempie przyspieszonem. Za położone w tym kierunku zasługi jego nazwano właśnie Rynek Główny *Demelplatzem.*[1] Za burmistrzowstwa Kluckiego wszelkie rozporządzenia władz miejskich, czy drukowane, czy też ogłaszane przy biciu bębna, dawane były w dwu językach, polskim i niemieckim; gdy Demel nastał odrazu się to zmieniło, zaczęto używać tylko niemieckiego języka. W czasie wojny prusko-austryakiej ludność polska w Cieszynie użalała się, że tylko wezwania o datki ogłaszane bywają w języku polskim, a wszelkie inne tylko po niemiecku. Przy takiem nieżyczliwem zachowaniu się względem ludności polskiej miała czoło taż sama zwierzchność miasta okazać pewnego razu swoje niezadowolenie z tego, że nie została zaproszoną na wielką zabawę ludową, urządzoną przez stronnictwo polskie w Sibicy (duża wieś pod samym Cieszynem) w r. 1869. Tak wzięto do serca jej pretensye, iż następnie, gdy miała się odbyć podobna zabawa w Ropicy w r. 1871, nie omieszkano już rady m. Cieszyna uprzejmie zaprosić, za co ta przez wdzięczność i prawdziwie germańską kurtuazyę z inicyatywy dra Demla zakazała uroczystego pochodu z miasta i do miasta.

W roku 1870 powstał w Cieszynie *Deutscher-Verein*, który kierował całym ruchem antipolskim i inicyował wszelkie zamachy przeciwko polskości. On to na początku tegoż roku miał czelność zażądać od starostwa przedstawienia sobie wykazu członków polskiej czytelni ludowej, której dość silny rozwój w pierwszych latach istnienia bardzo Niemców irytował, tembardziej, że czytelnia niemiecka wtedy słabe dawała znaki życia.

W roku 1872 postanowiono „na ratuszu" cieszyńskim straż ochotniczą, założoną zaledwie na rok przedtem, wolną do tego czasu od hegemonii niemieckiej, przerobić na instytucyę zupełnie

[1]) Tego Demla nie należy mieszać z Leonardem Demlem, synem jego, który również był burmistrzem Cieszyna przy końcu zeszłego wieku.

niemiecką. Dokonanie tego zamachu polecono niejakiemu Schrubarzowi, jak nazwisko wskazuje, pochodzenia polskiego, który może nawet dobrze po niemiecku nie umiał. Ów pan Schrubarz postawił wniosek, który brzmiał w tłumaczeniu tak: „Zgromadzenie uchwala, że straż ogniowa ochotnicza cieszyńska jest niemiecką co do swego jestestwa, swoich dążeń, swego wewnętrznego składu, swojej mowy i komendy". Że „skład wewnętrzny" nie był bardzo niemieckim, to najlepiej widać z tego, że za owym wnioskiem z 90 członków straży głosowało tylko 36. Pomimo to uchwała zapadła, bo tak chciał p. Demel i nic już nie pomogły protesty późniejsze.

Germanizacya wśród mieszczaństwa.

Powyższe szczegóły dowodzą, że niemczyzna była narzucana z góry, że jej postępy nie były czemś zupełnie naturalnem, nie wypływały z rzeczywistego układu stosunków, lecz sztucznie podsycane być musiały. Szkoda też niepowetowana, że wśród obozu narodowego polskiego zamiast bardziej energicznej, wytężonej pracy, zamiast zgodnego, zorganizowanego działania, nastąpiły spory osobiste, zaczęły coraz częściej i coraz namiętniej wybuchać waśnie wyznaniowe, między katolikami a ewangielikami, co ogromnie zaszkodziło sprawie narodowej, krzywiąc jej kierunek i sprowadzając ją na bezdroża.

Niepodobna przytaczać mnóstwa drobnych szczegółów, ilustrujących przebieg tej ewolucyi, jaka odbywała się wśród mieszczaństwa pod wpływem germanizacyjnego parcia z góry. Ewolucya ta objęła między innemi nawet i dziedzinę kulinarną. Zanotujemy tu parę szczegółów, stwierdzających, że około 1872 r. istniały jeszcze wśród Cieszynian tradycye kulinarne o charakterze wybitnie polskim, czego już około r. 1895, gdym przybył na Śląsk, w żaden sposób dostrzedz nie było można. Oto z początkiem r. 1872 niejaki Stanisław Gandour otworzył restauracyę *narodową pod trzema braćmi*. Można u niego było dostać dobrej herbaty i kiełbas krakowskich, które co parę dni nadchodziły od słynnego Arniołowicza z Krakowa. Ogłaszał też Gandour „obiady prywatne", gdzie można było spożywać bigos litewski, zrazy polskie i t. p. potrawy, przyrządzone według przepisów kuchni polskiej. Podobno restauracya ta miała duże powodzenie. Skoro o tych smakołykach mowa, to warto zanotować ceny niektórych artykułów spożywczych z tego właśnie 1872 r. I tak wołowina w Opawie za funt 30 centów, w Bernie 32, we Lwowie 26·5; cielęcina: Opawa 28, Berno 33,

Lwów 19·5; wieprzowina: Opawa 32, Berno 34, Lwów 36; chleb biały: Opawa 8·5, Lwów 10; chleb czarny: Opawa 7, Lwów 7·21, Cieszyn: ziemniaki 2·15, masło 0·60.

Restaurator Pustelnik „pod złotym wołem", gdzie przez czas długi mieściła się polska Czytelnia ludowa, już wówczas skłaniający się ku niemczyźnie, a około r. 1890 już cały Niemiec, polecał często w „Gwiazdce" swój miodek, „polski narodowy trunek", na który tak lubiał do niego zachodzić codziennie Stalmach przez długie lata. Przez wdzięczną pamięć za to, gdy zbierano składki na nagrobek dla Stalmacha, Pustelnik ofiarował aż 1 złr.

W dwadzieścia lat później nawet i w tej dziedzinie nastąpiła zupełna zmiana. Jadłodajni polskiej narodowej darmoby szukać; potraw polskich nawet w domach prywatnych nie umiano już sporządzać. Wszelkie zakłady restauracyjne, cukiernie i t. p. mają już cechę zupełnie niemiecką, z obsługą kaleczącą mowę polską niemiłosiernie, a często nie chcącą wcale odpowiadać po polsku.

Drobnomieszczaństwo cieszyńskie zawsze życzliwie zachowywało się wobec Stalmacha, chociaż zajęty głównie ludem rolniczym i nie mając pomocników, nie mógł mu wiele czasu poświęcać i pracować nad jego oświatą w duchu narodowym. Niejakim śladem tej życzliwości było wystąpienie korporacyjne weteranów cieszyńskich na pogrzebie córki Stalmacha Pauliny w maju 1878 roku. Około r. 1896 coś podobnego nie byłoby już możliwe.

Germanizacya bowiem szła tymczasem coraz żwawszym krokiem, przeciwdziałania ze strony narodowców polskich nie było. Niemczą się wszystkie warstwy. Profesor gimnazyum i kustorz muzeum Szersznika[1]) p. Joseph Witrzens, jeszcze w r. 1874 nazywał się Józef Wytrzęś i tak się podpisywał. Był wtedy kierownikiem w 3 klasowej szkole ludowej w Karwinie. Kupiec korzenny na Wyższym Rynku, który jeszcze około r. 1880 nazywał się Jan Łomozik, wkrótce potem przerobił się na „Johann Lomosik". Inny kupiec, mający czysto polskie, piękne nazwisko Kwasigroch, widocznie począł się wstydzić, że ma coś wspólnego z prawdziwym grochem i przemalował swoje nazwisko nad sklepem na *Quasigroch*.

Niemczą się nietylko rodowici Ślązacy, ale także przybysze z innych dzielnic polskich. Przybywa z biednej wioski góralskiej,

---

[1]) Obywatel cieszyński ur. 1747 um. 1814. Zbiory jego składają się przeważnie z okazów przyrodniczych, etnograficznych i numizmatyki! biblioteka zawiera przeszło 30.000 tomów, założona w r. 1802.

z okolic Białej Góry, chłopiec kilkunastoletni, w Cieszynie poświęca się krawiectwu i po kilku latach z Pawła Juraszka robi się „Paul Juraschek-Herrenschneider“. (Sprawiedliwość nakazuje przyznać, że ten obecnie już od dłuższego czasu znowu dla polskości odzyskany został). Emigruje z Warszawy cyrulik Komornicki i w Cieszynie w lat czternaście potem spotykamy „Friesir- und Rasirsalon“ p. Komornitzky'ego, który już z wielką trudnością wyraża się w języku ojczystym, obcuje tylko z Niemcami i dzieci wychowuje na Niemców.

Faktów takich istniały tysiące, jedne od drugich smutniejsze. Ale najsmutniejszym był ten, gdy nie prostak bez wykształcenia, bez poczucia narodowego, lecz przedstawiciel inteligencyi, doktor prawa, notaryusz, p. Henryk Giełdanowski, niedawno z Galicyi przybyły, biorąc ślub 11. kwietnia 1891 r. w kościele katolickim w Cieszynie, pozwolił na przemówienia *niemieckie*. Dodać też należy, że pan ów był wtedy prezesem *polskiej* Czytelni ludowej, co już niejednemu mogło się wydać nieprawdopodobnem.

Tempora mutantur...

Miarą postępów, jakie poczyniła niemczyzna w ciągu dość krótkiego czasu, dowodem, jak radykalnie zmienił się nastrój wśród mieszczaństwa, od czasu, jak dr. Klucki przestał być burmistrzem Cieszyna, posłużyć mogą dwa następujące epizody. Zdaje się, na parę lat przed usunięciem się jego od zarządu miasta, był pożar w Żywcu, który poczynił dość spore spustoszenie. Stalmach ogłosił w *Gwiazdce* subskrypcyę na pogorzelców, ofiarując pewną kwotę od siebie, otóż pomimo, że Cieszyn był wtedy dość małem i ubogiem miastem, ludność pospieszyła ze składkami, złożywszy w krótkim czasie dwieście kilkadziesiąt guldenów, oprócz tego urządzono parę koncertów na ten cel. Z pomocą dla polskich pogorzelców szli wtedy nawet i Niemcy, jak to wskazują nazwiska podane w *Gwiazdce*. Gdy zaś, po latach kilkunastu, już za burmistrzowstwa Demla spaliła się niemal doszczętnie Lanckorona i gmina tamtejsza zwróciła się z prośbą do rady miejskiej cieszyńskiej o pomoc dla nieszczęśliwych, odpowiedzią na to było głuche milczenie. Tak się już czasy zmieniły, że Stalmachowi ani do głowy nie przyszło agitować w swej gazetce za niesieniem pomocy rodakom z Galicyi.

Nic też dziwnego, że w latach 1890—1900 ulice Cieszyna miały już wygląd najzupełniej niemiecki. Wszelkie napisy, tablice

i t. p. na instytucyach rządowych, miejskich, wogóle publicznych, były niemal wyłącznie niemieckie. Wyjątki można było na palcach jednej ręki wyliczyć. Jeśli gdzie znalazł się jeszcze napis polski, to z pewnością pochodził z lat dawnych. Stronnictwa narodowe, zarówno ewangielickie jak katolickie, nie dbały o to wcale, aby chociaż tym sposobem zadokumentować istnienie Polaków po miastach. W nrze 8 *Gwiazdki* z r. 1893 z humorem opowiedział ktoś przygody pewnego siedlaka (włościanina), nie mogącego odnaleźć w mieście domu „katolicko-narodowego", chociaż koło niego kilkakrotnie przechodził. Dom ten dopiero w r. 1895 doczekał się tablicy z napisem „Dom Dziedzictwa błogosławionego Jana Sarkandra", co nie obeszło się bez kłopotów i trudności. Założona z inicyatywy autora tych notatek Wypożyczalnia bezpłatna „Związku śląskich katolików", przez czas długi nie mogła się doczekać tablicy z napisem. Natomiast na budynku hotelowym „pod złotym wołem" jeszcze w r. 1897 widniał u samej góry ogromny napis *Bazar Cieszyński*, aczkolwiek instytucya ta przestała istnieć około roku 1880.

Trudno się też dziwić, że wobec obojętnego zachowania się w tej sprawie przewodników narodowych i ogół ludności polskiej również obojętnie ją traktuje. Napisy polskie na sklepach były też w tym czasie już bardzo rzadkie i co dziwniejsza, częściej je można było znaleźć na firmach żydowskich, aniżeli na chrześcijańskich. Pisownia na nich przeważnie była bardzo ułomna, treść często niezrozumiała lub komiczna, jak naprz. w następujących: „Burdaki na wicio obilo" (co znaczyć ma: młynki do wiania zboża czyli wialniki — „obili" po czesku znaczy zboże), „skład zmarłych trumien" i t. p. W ostatnich latach zeszłego wieku można było zauważyć nieznaczny postęp w tym kierunku: napisy polskie na sklepach zaczęły się pojawiać częściej.

Do jakiego stopnia Polacy w Cieszynie w ostatnich dziesiątkach lat ubiegłego wieku zrzekli się już wywierania swego wpływu na instytucye publiczne, które nawet czasami znacznemi wspomagali datkami, dowodzi fakt następujący. Biskup sufragan cieszyński ks. Franciszek Śniegoń, według zdania tak katolików jak ewangielików, dobry narodowiec, z okazyi 80 rocznicy swoich urodzin ofiarował 500 złr. na dom sierot, który nosi napis *Waisenhaus* i germanizuje dzieci polskie. Czy dając taką kwotę, nie należało zażądać przynajmniej położenia drugiego napisu po polsku? W r. 1885 p. Bronisława Świerkiewiczówna urządziła w szkole miejskiej wystawę obrazów własnego pędzla i pozostałych po ojcu,

również artyście-malarzu. Dochód z tej wystawy przeznaczyła na tenże Waisenhaus.

Takie instytucye, jak cechy rzemieślnicze (Genossenschaften), kasy dla chorych (Krankenkassen) i t. p. w ostatniej ćwierci zeszłego wieku zostały całkiem zniemczone, chociaż nierzadko w wydziałach ich zasiadali „znani“ i „gorliwi“ narodowcy. Ogłaszały sprawozdania tylko po niemiecku, statuty i napisy miały tylko niemieckie, chociaż między rzemieślnikami było mnóstwo takich członków, co słabo po niemiecku umieli, albo nawet wcale języka niemieckiego nie znali (np. przybysze z Galicyi albo Królestwa).

Polacy wobec rady miejskiej.

Narodowcy cieszyńscy nie dbali nigdy o to, aby zyskać jakiekolwiek wpływy w łonie rady miejskiej. Należało przy każdych wyborach, odbywających się co trzy lata, stawiać swoich kandydatów, agitować za nimi i t. d. Jeszcze w r. 1872 z powodu obsadzenia posady lekarza miejskiego podjęto coś niby w rodzaju akcyi w tym kierunku. Zaagitowano między mieszczanami i wystosowano protest z 500 podpisami, ale bez skutku. Od tego czasu zapanowała literalna martwota. Dopiero w r. 1888 „Związek katolików śląskich“, towarzystwo polityczne, postawił swoich kandydatów, notabene bardzo wątpliwej pod względem narodowym wartości. Zresztą Związek na ludność miejską nie miał najmniejszego wpływu. I jakże go mógł mieć, skoro w r. 1893, jak sprawozdanie wykazywało, liczył on członków w Cieszynie tylko 7 oprócz kilku księży, w Bielsku tylko jednego (księdza), we Frysztacie 13, (w tem 2 księży), w Skoczowie zaś *ani jednego!* A dodać trzeba, że taki Skoczów w r. 1890 na 3182 mieszkańców liczył Polaków 2083.

Przewodnicy narodowi polscy w końcu ubiegłego wieku nie mieli już żadnego wpływu na mieszczaństwo, używające jeszcze języka polskiego. Gdy w r. 1895 postanowiono w kołach polskich zaprotestować przeciwko znanej uchwale rady miejskiej m. Cieszyna, fundującej 20 stypendyów z funduszów miejskich dla uczniów Polaków, którzy wstąpią do gimnazyum niemieckiego, to p. dr. Michejda, który zainicyował ów protest, a właściwie zażalenie, z trudnością zebrał 20 czy 30 podpisów. Rozumie się, z takiego protestu rada miejska jak i władze rządowe mogły sobie żartować.

Rada miejska w Cieszynie pod koniec zeszłego wieku składała się z 25 członków. Około r. 1870 i później radcami byli wyłącznie niemal urzędnicy państwowi lub kameralni (z zarządu dóbr arcyksiążęcych), doktorzy, adwokaci, profesorowie i t. p. Właściwego drobno-mieszczaństwa, kupców i rzemieślników nie było. Po jakimś czasie zaczęto ich znowu dopuszczać do rady, ale wybierano samych figurantów, którzy nie byli zdolni do samodzielnych kroków; decydujący głos miała wyższa inteligencya oraz grube ryby przemysłowe, między nimi żydzi: Kohn, milioner, właściciel wielkiej fabryki mebli giętych, oraz Fasal, fabrykant likierów i wody sodowej. Wyborcy do rad miejskich dzielili się na trzy koła stosownie do cenzusu majątkowego i położenia społecznego; obywatele, nie płacący przynajmniej 5 złr. podatku bezpośredniego, nie mieli prawa głosowania. Ponieważ zaś, jak wiadomo, ludność polska w miastach składała się przeważnie z warstw uboższych, podatkiem bezpośrednim nieobciążonych wcale lub tylko na kwotę mniejszą od złr. 5, więc znaczna część tej ludności w wyborach udziału nie brała. Poza tą kategoryą pozostaje wszakże jeszcze dosyć poważna ilość ludności polskiej, nieco zamożniejszej, która tworzy główny kontyngens wyborców koła III. Koło II. już nader mało liczyło Polaków, a w kole I. nie było ich wcale.

Charakterystycznem i ciekawem dla nas zjawiskiem było zachowanie się wyborców różnych kół, stopień zaiteresowania się ich wyborami. Zainteresowanie to wogóle nie było nigdy zbyt wielkie, „Spiessbürgerzy“ cieszyńscy nigdy nie okazywali zbytniego zapału do spraw publicznych, łatwo jednak można było zauważyć, że interes ten względem wyborów był znacznie słabszy w warstwach uboższych, a więc u Polaków, aniżeli w zamożniejszych, niemieckich. Dajemy tu parę na to dowodów cyfrowych.

W r. 1885 przy wyborach do rady miejskiej w Cieszynie na 972 uprawnionych do głosowania z III. koła zjawiło się tylko 191 czyli 19·6%. Z II. koła na 110 uprawnionych dało głos 58 czyli 52·7%, z koła I. na 131 uprawnionych głosowało 80 czyli 61%. W innych miastach było podobnież: w Strumieniu naprz. w r. 1888 z III. koła na 185 uprawnionych do głosowania zjawiło się przy urnie tylko 84 czyli 45·4%, zaś z II. koła na 38 uprawnionych głosowało 27 czyli 71%.

Z całą słusznością stwierdzić można, że w takim Cieszynie z tych 80% wyborców koła III., którzy stale nie głosowali, przynajmniej połowa t. j. jakieś 400 używało w owe czasy w domu języka polskiego, druga zaś połowa posługiwała się obu językami. Dowo-

dzi to, że ludność do owego czasu jeszcze czysto polska a następnie część ludności, zniemczonej tylko częściowo, którą przy pewnych usiłowaniach można było jeszcze od zagłady w krótkim czasie ocalić, wyborami się wcale nie interesowały. I nic dziwnego! Czyż bowiem zachęcano ją do tego? Czy starano się rozbudzić wśród niej ruch jakikolwiek w kierunku narodowym? Nikt tego nie próbował nawet. Jeżeli pracowano cokolwiek, to tylko nad ludnością wiejską, ludność miejską zaniedbano zupełnie, dlatego też z końcem ubiegłego wieku miasta śląskie uległy zupełnie germarnizacyi.

Wacław Naake-Nakęcki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nowe dzieło o Mickiewiczu.

(**Józef Kallenbach:** Adam Mickiewicz przez... Wydanie ozdobione siedemnastu ilustracyami. W Poznaniu. 1918. Wielkopolska księgarnia nakładowa Karola Rzepeckiego. Kraków: S. A. Krzyżanowski. 8°. T. I. s. 447+XV.+2 nl, T. II. s. 450+XI.+13+4 nl).

Łatwiej pisać monografię o Eurypidesie, Schillerze, W. Hugo, Norwidzie, niż o Ajschylosie, Goethem, Mickiewiczu. Wobec geniuszów bowiem skorzej o uczucia podziwu, niż o analizę i syntetyczne ujęcie wyników badań. Mówimy o Mickiewiczu. Jego twórczość przedstawia się raz jak złom granitu, raz jak wybuchająca lawa płomienna, a rzadziej jako owoc świadomej, celowej pracy *artystycznej*. Umysł wizjonerski, miał więcej do odsłonienia z głębin swych przeżyć, niż mógł wyrazić („język kłamie głosowi....") i dlatego o szczegółach kompozycyi dzieł swych przed tworzeniem najczęściej nie rozmyślał lub budowę obmyślaną w dobie realizacyi natchnień twórczych niszczył. Klasyk wśród nowożytnych jeden z najznakomitszych, nie wahał się przecież łamać klasycznych linii, poświęcając harmonię dla idei. Ale nie poświęcił dla niej prostoty, w tym stopniu, co u niego, niesłychanie rzadkiej nawet u największych, i dlatego tak niezmiernie trudnej do określenia. Prostota ona widnieje nawet tam, gdzie Mickiewicz dochodzi szczytów, które zdolna osiągnąć sztuka wypowiadania się.

Wszelako wielkość zjawiska, któremu na imię Mickiewicz, i na innych jeszcze wspiera się kolumnach. W twórcy „Dziadów" znalazło bowiem ucieleśnienie człowieczeństwo, wszystko to, co przez człowieczeństwo chcielibyśmy rozumieć, a równocześnie jest

Mickiewicz symbolem erupcyjnych i kształtujących mocy etnicznych w ich pełni, jest ideałem ogólno ludzkim, ponieważ jest ideałem środowiska narodowego, do którego należy.

Słowem jest Adam skupieniem wielkości różnogatunkowych i różnoideowych. Tajemnicy działania jego poezyi na pokolenia, kroczące pod rozbieżnemi hasłami nie rozwiąże jeden wskaźnik, ani potęga entuzyazmu, ani heroizmu, ani nawet „Monsalvat".

To przeświadczenie przyświecało niewątpliwie Autorowi monografii, skoro zarzucił określone i proklamowane „kąty widzenia", a raczej, skoro rezygnując z ujęcia genialnej twórczości w formułę, rozpatrzyć ją postanowił jako problem złożony, wymagający użycia różnorodnych kriteryów. Dlatego nie gardząc metodą filologiczną, nie wyrzekając się dociekań genetycznych (także śledzenia stadyów rozwoju poszczególnych koncepcyi), wiódł równocześnie badania na podłożu estopsychologicznem i podkreślał z całą siłą wartości ideowe, zrodzone z zespolenia się poety czy z Bogiem, czy z ludzkością czy z narodem.

Walną pomocą było Autorowi pierwsze wydanie monografii, ale tylko pomocą, ponieważ ramy dzieła z roku 1897 rozszerzyły się bardzo znacznie. Ale nietylko weszło obecnie mnóstwo treści nowej, także gruntownemu przerobieniu uległy pewne partye, w innych zmieniło się stanowisko Autora, nadto zjawiły się szerokie rzuty, uogólnienia, podnosząc wartość monografii w stosunku do pierwszego wydania o całą skalę.

To, co w książce pomnaża naszą wiedzę o Mickiewiczu dzięki nowym materyałom (rękopisom dzieł, listom), wydobył w przeważnej części już przedtem z ukrycia sam Autor i nie wydobył jedynie, ale i omówił krytycznie, wpajając w rwący się dawniej łańcuch ogniwa nieoszacowanej wartości, dopełniając znamiennymi rysami linii rozwoju twórczości.[1]) Obecnie zapragnął stopić owoce swych i obcych badań w jedną logiczną i artystyczną całość. W jak

[1]) Porówn. prace Autora: „Czasy i ludzie", Warszawa, 1905: „O nieznanych utworach młodzieńczych A. Mickiewicza". Pamiętnik liter., VII., Lwów. 1908; „Archiwum Filomatów", Bibl. Warsz., 1909, t. I.: „Lata uniwersyteckie A. Mickiewicza". Kraków, 1910; „Ród Filomatów", Bibl. warsz. 1914. Obok studyów Autora zaważyły na szali mniej lub więcej, prócz pierwszorzędnego źródła, jakiem jest Archiwum Filomatów, opracowania monograficzne i artykuły Tretiaka (A. Mickiewicz w świetle nowych źródeł), Pietraszkiewiczówny (Dzieje Filomatów w zarysie), Dobrzyckiego, Petzolda, Stopy, Przesmyckiego, Szyjkowskiego i i. (mowa o pierwszych rozdziałach).

znacznej mierze, w jakiej objętości weszły te nowe elementy do dzieła, niech pouczy zestawienie.[1])

W tomie I-szym rozdział drugi i trzeci (Lata uniwersyteckie, Nauczyciel kowieński) to nie nowe opracowanie, ale nowa praca.[2]) Z wydania pierwszego pozostały tu ledwo fragmenty. Autor nie uległ jednak niebezpiecznej zawsze pokusie wtłoczenia do monografii całej swej wiedzy o pierwszej dobie rozwoju twórczości Mickiewicza, przeciwnie zdołał szczęśliwie ustosunkować materyał nowy do całości, dać z niego, co istotne, wyjątkowo chyba — jak na str. 26 n — nie stroniąc od szczegółów (odczyty na posiedzeniach Filomatów), lub od dość rozciągłego stosunkowo cytowania „przemów". Dodajmy jednak zaraz, że cytaty były Autorowi potrzebne do wysnuwania wniosków, kardynalnych nawet, jak ten, iż hasło „miej serce i patrzaj w serce" było już wprzód „filomatycznie uzasadnione jako celowy program działania społecznego" (s. 38).

Charakterystyczne znamiona pism młodzieńczych z tem wszystkiem, co było w nich objawem i zapowiedzią przyszłej wielkości, wydobył Autor precyzyjnie, śledząc rozwój wyobraźni Mickiewicza w tych latach. Więc podkreślił samodzielność w spolszczaniu znamion poezyi obcej, zdolność unarodawiania kolorytu, „junactwo języka", umiejętność pochwytywania gestów i ruchów, żywiołowość pomysłów, a obok tego budzenie się myśli społecznej, zwiastunki późniejszej roli poety w „Trybunie ludów". Język i styl pierwszych utworów oczekują opracowania monograficznego, ale to, co Autor rzucił jakby od ręki, mimochodem (s. 78 n), będzie dla badaczy wytyczną, w jakim kierunku biec mają ich dociekania. Natomiast ustęp o Filomatach (s. 92 n), choć nie przepojony tem ciepłem uczucia, co inne partye monografii, tak wytrawnie i wszechstronnie ujmuje atmosferę i ducha organizacyi, że nowego niewiele chyba dalsze badania przydadzą.

Rozbiór większości ballad wszedł w rozdział III-ci, poświęcony dobie kowieńskiej. Architektonika studyum może ucierpiała na tem, uwagi bowiem o pozostałych balladach i romansach z syn-

---

[1]) Po licznych ocenach, które ukazały się w rozmaitych czasopismach, ale które porównywaniem dwu edycyi przeważnie się nie zajmowały, to „zestawienie" jest głównym celem niniejszego artykułu.

[2]) W rozdziale *pierwszym* (Rodzina i szkoła) przybył w nowem wydaniu piękny wstęp o unii duchowej Litwy z Polską (s. 1), ustęp o Janie Soplicy (s. 5—6) i o upodobaniach poetyckich ojca Adama (s. 9).

tetycznem ujęciem całości znalazły się w rozdziale następnym, rzecz jednak nic na onem rozerwaniu twórczości balladowej nie traci. A są tu spostrzeżenia pierwszorzędnej jakości, jak nad „Liliami" (s. 146 n), w wydaniu pierwszem nie istniejące, istne cacko analizy estetycznej. Niech mi będzie wolno dorzucić jeszcze kilka luźnych uwag. Więc anafora nietylko przedłuża czas i stwarza perspektywę w oczekiwaniu, ale — odmiennie jak w wersyi ludowej — maluje także stany psychiczne [1], jak znów refren, mający w pieśni ludowej konwencyonalne wyłącznie znaczenie, u Mickiewicza spełnia rolę nastrojową [2] i jest wskaźnikiem dokonywającego się procesu wewnętrznego [3], a przez to reguluje stosunek uczuciowy czytelnika do problemu moralnego. Wysoce artystyczne zadanie wyznaczył też poeta asyndetom, one to bowiem odtwarzają nastroje uczuciowe. Nastrojowość „Lilij" jest wyższa niż wszystkich innych ballad, wyższa i inna niż np. także wysoce nastrojowej „Świtezianki". W „Świteziance" bowiem nastrój płynie z użycia środków artystycznych osjanowskich [4] i z wprowadzenia motywu kontrastowego: dźwiękowego, dyssonansowego. Wogóle zaś nastrojowość ballady Mickiewiczowskiej to temat wdzięczny do opracowania, oczywiście w zestawieniu z balladą obcą i Niemcewiczowską. Niektóre momenty Autor poruszył bardzo trafnie.

Przy syntetycznem ujęciu znamion ballad nasuwa się pytanie, jakie jest w nich dominujące wzruszenie. Otóż najczęstszym motywem wzruszeniowym, choć w różnych kombinacyach i w różnem oświetleniu, jest miłość (bez wzajemności, a o ile wzajemna, nieszczęśliwa); obok miłości — śmierć. Nie przypadek to prosty.

O stosunku ballad do utworów tego rodzaju Goethego i Schillera mamy studya bardzo poważne, przez Autora cytowane. Czytelnik byłby wdzięczny Autorowi za zajęcie stanowiska wobec postawionej tezy, jakoby ballady Mickiewicza, w przeciwstawieniu do Goethego, były tylko „*opisem krasomowczym* szeregu zdarzeń i przygód cudownych lub nadzwyczajnych, którego umysł wykształcony może używać w celach alegorycznych". Z braku polemiki na ten temat wnosić wolno, że Autor na tę tezę się nie zgadza

[1] „*Ha* mąż, *ha* trup; *po nim już, po nim już*; *nigdy* na ustach śmiechu, *nigdy* snu na źrenicy"...

[2] „A rosną tak wysoko, jak on leży głęboko".

[3] „nie czas już, ach nie czas!".

[4] Motyw świetlny powtórzony kilkakrotnie — wśród blasków widzimy tylko *sine* wody Świtezi i *srebrne* refleksy.

i że dlatego pominął ją milczeniem. (Cel alegoryczny a cel wzruszeniowy to rzeczy różne).

W polemice o „Hymn na dzień Zwiastowania“ przechyliłbym się całkowicie na stronę Autora, podobnie w polemice o „Odę do młodości“. Uwag o ostatnim utworze nie można nazwać inaczej jak znakomitemi. Pod względem formalnym Oda łączy się jeszcze wielu niémi z kierunkiem, który schodził z pola, pod względem ideowym wyrosła z zespołu haseł filomackich i romantycznych. Duch romantyczny zaś — dodajmy — objawia się nietylko w przeciwstawieniu jednych, uznawanych władz duchowych. drugim dążącym do supremacyi, ale również w znamiennej dla romantyzmu wierze w potęgę jednostki („dzieckiem w kolebce kto łeb urwał hydrze...“) i w dążeniu do przezwyciężenia, „dopełnienia“ rzeczywistości (rajska dziedzina ułudy).

Odbiegliśmy od zapowiedzianego zestawiania dwu wydań. Powracając do tego zadania i postępując rozdziałami, zauważymy, że w rozdziale IV-tym, w pierwszej jego części, przybyło stosunkowo niewiele [1]), natomiast część druga (od str. 219) mieści w sobie sporo nowego materyału rzeczowego. Oryginalnem zaś niemal studyum w stosunku do wydania pierwszego trzeba nazwać rozdział V-ty „Dziady“. [2]) Genetyczne podłoże zostało tu szerzej i wnikliwiej rozpatrzone, znawstwo duszy własnej Mickiewicza podkreślone silnie, omówił też Autor stosunek żywiołu osobistego w poemacie do ludowego, ostatniego zaś do elementów społecznych, dalej stosunek prawdy uczuć do ambicyi artystycznej, nadewszystko jednak wybornie uświadomił czytelnikom wartość czwartej części „Dziadów“ jako wielkiego *stań się* w zakresie wszechstronnej swobody w wypowiadaniu uczuć indywidualnych a w związku z tem swobody tworzenia. Nie mniej cenne są uwagi o kojarzeniu w poemacie uczuć osobistych z odczuwaniem przyrody i roli przyrody. Przypisek na str. 282, podający hypotezę o pewnym wpływie „Ziemianina“ Delilla w przekładzie Felińskiego na motyw wprowadzenia do „Dziadów“ postaci księdza, jakoteż o wpływie stylu

[1]) Urywek z pism J. Śniadeckiego na temat poezyi romantycznej (s. 207), spostrzeżenie o różnicy między znanym tekstem „Pierwiosnka“ a autografem (s. 217), ogólne uwagi o znaczeniu tomiku Poezyi z r. 1822 (s. 218—19).

[2]) Ustępy dodane, odnoszące się do „Dziadów“, znajdują się na str. 244—8, 259, 262, 263, 272, 280, 284—5, 286—8, 292—3. 295—8. Autor powołuje się także na wyniki badań W. Bruchnalskiego, Z. Matkowskiego i i.

Felińskiego na styl Mickiewicza aż do „Dziadów“ włącznie powinien wywołać osobną temu zagadnieniu poświęconą dyssertacyę.

W tymże rozdziale w nowem świetle wystąpiła sprawa filarecka i więzienia Filaretów (s. 298—9. 300—2. 304—5), pożegnanie zaś Kowna, Zana, improwizacya więzienna, ostatnie dni w Wilnie (s. 309—13, 315) to albo zupełnie nowe partye monografii, albo gruntownie z wydania pierwszego przerobione.

Rozdział zatytułowany „Na wygnaniu“ — Sonety“ (VI-ty) wzbogacił się również nieznanymi przedtem szczegółami, jakkolwiek część z nich odnosi się głównie do stosunków życiowych poety[1]), część zaś to sądy o sonetach (także własne Mickiewicza).[2]) Plastycznie wystąpiła obecnie niezwykła postać Oleszkiewicza (s. 316—17). Do dawniejszych uwag estetycznych o Sonetach dołączono nowe: o artystycznej ich wartości (s. 328) i o związku nastroju w nich się uwidoczniającego ze skłonnościami artystycznemi poety (s. 329). Kończą ten rozdział uwagi o psychicznem podłożu koncepcyi „Konrada Wallenroda“, naturalne przejście do rozdziału następnego.

O ile chodzi o „powieść z dziejów litewsko-krzyżackich“, najpiękniejsze to, co Autor napisał (w r. VII.) o doniosłości poematu, o tętniącym w nim żywym pulsie ujarzmionego Narodu, o napoju żalu i nadziei, jaki podawał (s. 368—9). Jest to poemat o poemacie, jedno z tych miejsc, które nie zrywając z naukowością, zdolne są dzięki ujawnionemu uczuciu Autora rozgrzać nawet bardzo chłodnego czytelnika. Ale Autor takiego celu może nie miał przed oczyma, raczej — sądzimy — spowiadał się z własnych uczuć. I dobrze uczynił, że nie zawahał się przed tem: książka o Mickiewiczu, poświęcona młodzieży polskiej, nie może i nie powinna być suchym wywodem choćby najdonioślejszych prawd. Polemika z Mochnackim (s. 360—1) była potrzebna, uwaga o sercu *filomata* bijącem pod zbroją krzyżacką godzi w sedno rzeczy. Natomiast nie jestem pewien, czy nie przecenia Autor wpływu poematu na urabianie się kierunku myśli politycznej współczesnej, kiedy twierdzi, że „*cała* poezya czynu w r. 1831 wypłynęła z Wallenroda“ i czy nie bliżsi prawdy są ci, którzy sądzą, że poemat był raczej jednym z objawów, jakkolwiek z objawów naj-

[1]) O uroku, jaki Mickiewicz wywierał, o p. J. B. Zaleskiej (s. 319—20); „niezwykłe koleje“ Mickiewicza, otoczenie w stolicy, pytania, jakie dręczyły poetę (s. 332—35).

[2]) Porówn. str. 324—5 i 326—8.

potężniejszych, tego prądu, który ujście znalazł w Czynie. Spór — od dawna się toczący — może rozstrzygnie kiedyś historya.

Kwestya związku poematu z literaturą obcą, poruszona przez Autora z konieczności nawiasowo (s. 356), będzie wymagała wobec rozszerzonego obecnie materyału dokładnego sprecyzowania.

W dalszej części rozdziału VII-go pomieścił Autor „wiersze nieznane", o których przypuszcza, że są pióra Mickiewicza, i Improwizacyę poety w Moskwie. Znów konieczne tu studyum szczegółowe. Dla psychologii Mickiewicza ważna jest wiadomość o stosunku jego do p. K. Jaenischówny, o czem głównie informują nas nieznane dotychczas listy poety do Daszkiewicza (s. 385—392; porówn. też s. 408—9). Analizę estetyczną „Farysa" rozszerzył Autor znacznie i pogłębił, rozważając podstawę wzruszeń płynących z poematu. Powołuje się przy tem na studyum C. du Prela Psychologię liryki.

W rozdział VIII-my (Podróże) szczęśliwie włączony wyjątek ze wspomnień W. Zamoyskiego o Mickiewiczu (s. 428—9).

Już ogłoszone w r. 1916 przez Autora „Wiadomości o nieznanym autografie III. części Dziadów" pozwoliły czytelnikowi zaznajomić się z pierwszą kompozycyą poematu. Sprawę tę roztrząsa Autor obecnie w monografii w rozdziale IX-tym (tom II., s. 18, 21, 35, 37—9, 56—8, 82), odtwarzając dawniejszy tok wywodów z najtrafniejszymi wnioskami. Nowy to pęk światła rzucony na nieśmiertelne dzieło, jedna z rzetelnych zasług niestrudzonego Badacza. Z innych partyi włączonych wyszczególnić trzeba paralelę między wyzwaniami Konrada a skargami Joba, nawiązującą do artykułu prof. Sinki (s. 53--4), tudzież ogólny rzut oka na poemat jako na wyraz uczuć indywidualnych i zbiorowych (s. 95—100). Refleksye: w czem mądrość arcydzieła Mickiewiczowskiego (s. 103—4) wkraczają w dziedzinę pozaliteracką, są jednak naturalnym objawem w pracy Autora. który w pierwszem już wydaniu niejednokrotnie pragnął podzielić się z czytelnikiem także swoimi własnymi poglądami na najważniejsze zagadnienia narodowe.

Wiedzę naszą o „Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego" po pojawieniu się pierwszego wydania monografii o Mickiewiczu rozszerzyły i pogłębiły głównie dwie publikacye: wydany w całości tekst pierwotny „Ksiąg" przez prof. Kallenbacha (1905) i studyum dra S. Pigonia. Nic dziwnego też, że i rozdział (X-ty) poświęcony „Księgom" (także „Pielgrzymowi polskiemu" i „Artykułom politycznym") odbiegł niemało od treści uwag w wydaniu pierwszem. Ażeby sobie uświadomić istotę różnicy między dwoma

opracowaniami tego samego zagadnienia, odczytać należy ustęp o moralnej genezie napisania i wydania „Ksiąg Pielgrzymstwa“ (s. 106—7), następnie obszerny ustęp, całą dyssertacyę naprawdę: o stosunkach emigracyjnych, o pierwotnym tekście ksiąg, ich myślach przewodnich, „ważnych zeznaniach“, o „nastroju gorączkowym, o ostatnim przyroście rękopisu, o stylu ewangelicznym (s. 108—118). Wszystko wagi pierwszorzędnej. Partya bezpośrednio potem biegnąca (s. 118 n) przerobiona została z wydania pierwszego, ale w szczęśliwszem ujęciu ideowem.[1] Ze stanowiskiem dra Pigonia Autor się zgadza, podnosi wysoką wartość pracy, podkreśla jednak, że wpływ Tomasza a Kempis zaczął działać na poetę jeszcze w Wilnie i że wpływu tego nie należy przeceniać ani w odniesieniu do „Ksiąg“ ani do współczesnego pokolenia. Znów wdzięczny temat do badań.

Zasadnicze stanowisko Autora wobec „Pana Tadeusza“ (r. XI.) pozostało to samo, co w wydaniu pierwszem, wyniki nowych studyów porównawczych zostały jednak szeroko uwzględnione (s. 161—173). Ponadto weszły tu rezultaty własnych szczęśliwych odkryć (Jan Soplica, s. 159—161), a wycieniował Autor i rozwinął uwagi na temat źródła genezy „Pana Tadeusza“, liryzmu nostalgicznego i cichej tragedyi w stosunku Mickiewicza do Ewy Henrietty i jej ojca (s. 146—9. 172). Do bardzo cennych partyi trzeba zaliczyć refleksye na temat pogłębienia liryki serca psychiką narodową.[2] Słowem, mimo że stanowisko wobec „powieści szlacheckiej“ nie uległo zmianie (nie było do tego istotnych powodów), na dzieło padają nowe promienie światła: lepiej rozumiemy jego genezę, jego rodowód literacki, tradycyę literacką, z której wyrósł, i dokładniej zdajemy sobie sprawę ze źródła uroku, którym podbija serca pokoleń. I ten rozdział, jak poprzednie, powinien pobudzić historyków literatury do zajęcia się bliższego poruszonymi problemami, w szczególności koniecznem się staje ściśle określenie sto-

[1]) W rozdziale tym znajdują się w dalszym ciągu ustępy, których wydanie pierwsze nie znało: Mickiewicz w Tow. lit. i ziem ruskich, odczyt o duchu narodowym (s. 130—133), stanowisko Mickiewicza wobec zamierzonego zwołania sejmu polskiego (s. 134 i 137—8).

[2]) Nadto znajdujemy w rozdziale tym — jako ustępy dodane — polemikę z Z. Wasilewskim (s. 151, w odsyłaczu) i z A. Górskim (s. 170, również w odsyłaczu), obie w związku z zapatrywaniami na genezę utworu. Na str. 212 sąd Krasińskiego o „Panu Tadeuszu“ z 9. kwietnia 1858, na str. 219 sąd Volkelta z powołaniem się na I. Chrzanowskiego.

sunku pierwiastków romansowych do epopeicznych w poemacie. Pamiętać należy przy tem, że motywy i środki techniczne Homerowe uległy w „powieści szlacheckiej“ w znacznym stopniu znamiennemu przebarwieniu: tam, gdzie Homera naśladuje Mickiewicz świadomie, prawie zawsze zabarwia naśladownictwo humorystycznie.

Rozdziały końcowe, acz nie wnoszą tyle żywiołu nowości w zakresie materyalnym i myślowym, co wszystkie poprzednie, nie są również prostem powtórzeniem tego, cośmy czytali w wydaniu pierwszem, owszem i tu treść dawniejsza uległa rozszerzeniu i pogłębieniu, a ustępów świeżo dodanych znalazł się cały szereg. [1])

W „Dodatku“ pilną uwagę zwrócić należy na spostrzeżenia nad sposobem, w jaki wyraża Mickiewicz odczucia wewnętrzne (transpozycya wrażeń). Oddziaływaniu tego „nowatorstwa“ na współczesnych Mickiewiczowi i potomnych zamierza Autor poświęcić osobne studyum (II., s. X).

O gruntownem nietylko przestudyowaniu wszystkiego, co się do Mickiewicza odnosi, ale i o ponownem przemyśleniu dzieł poety, i to nie wyłącznie w sferze zagadnień artystycznych, ale

---

[1]) Ażeby — wobec odmiennych twierdzeń — słowa powyższe nie wyglądały na sąd gołosłowny, przytaczam ustępy w wydaniu pierwszem nie istniejące: w r. XIII. (Literatura słowiańska w kolegium francuskiem) pierwsze wykłady Mickiewicza (s. 301—3), wykład o Iwanie Groźnym (s. 305), uwagi M. o wieku złotym (s. 307), o Kochanowskim (s. 308), horyzont historyczno-literacki Mickiewicza (s. 309--10), ujęcie wieku XVII-go (s. 313), ocena psychologiczna Piotra Wielkiego (s. 315—16), uwagi o komisyi edukacyjnej (s. 317), Mickiewicz o Walterze Scocie (s. 318), uwagi Mickiewicza, dotyczące języka i etymologii, zabarwienie wykładów duchowo-religijne (s. 322—7), nastrój prelekcyi w stosunku do słuchaczy (s. 328—9); w r. XIV. (W Towiańszczyźnie), listy Januszkiewicza i K. Sienkiewicza o uzdrowieniu p. C. Mickiewiczowej (s. 334—6), biografia Towiańskiego (s. 336—9), szczegóły z nauki Towiańskiego (s. 341—2), z rozmów A. Chodźki z mistrzem (s. 365), ekstaza religijna Mickiewicza (383—4), zdania z notat Mickiewicza, zawierających „uwagi przeznaczone zapewne do rozwinięcia ustnego na Kole“ (s. 386—7), zdania M. o życiu pozagrobowem z autografu Goszczyńskiego (s. 389—91): w r. XV. (Legion włoski, Trybuna ludów, Ostatnie lata) artykuł o „La Tribune des peuples“ (s. 415—420), przydane uwagi o artykułach o chłopach francuskich (s. 420—1), charakterystyka artykułów (s. 422), ogólny sąd o działalności Mickiewicza w Trybunie (s. 423—4).

również w zakresie stosunku poety do narodu i wartości jego wskazań dla społeczeństwa, świadczą, obok partyi w drugiem wydaniu dodanych, także pewne miejsca z pierwszego wydania opuszczone. Przyszły historyk krytyki literackiej w Polsce znajdzie, badając treść tych ustępów, które Autor w wydaniu drugiem skreślił, materyał do nakreślenia ewolucyi poglądów i przekonań Autora politycznych, społecznych, historyozoficznych. Do takich znamiennych opuszczeń zaliczam refleksye na temat „Ody do młodości" (1 wyd. T. I. s. 57), tudzież na temat wartości rozsądku i uczucia w życiu politycznem narodu (1 wyd. T. II. s. 106). O zmianie ewolucyjnej w stanowisku Autora mówią również uwagi o „Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego" (porówn. 1 wyd. T. II. s. 98—9 i 2 wyd. T. II. s. 119) i o artykułach politycznych Mickiewicza (1. wyd. T. II. s. 103 i 2 wyd. T. II. s. 138). Rzadkie istotnie zjawisko. Przywykliśmy do tego, że z latami ludzie utwierdzają się w swych poglądach, upierają się przy nich — Autor kroczy „z żywymi naprzód", nie zawahał się też przekreślić tego, co niegdyś uważał za słuszne, a co, patrząc, czując i myśląc, uznał dziś za refleks historyozofii minionej doby. Wyszedł poza własne ongiś stanowisko, jest w drugiem wydaniu „młodszym", niż był w pierwszem.

Poprą to twierdzenie takie z młodzieńczym polotem napisane ustępy, jak o górnej młodości Mickiewicza (s. 439—440), o haśle poety (s. 440—1), o jego „ogrojcu duchowym" (s. 443—4) (w „Zakończeniu").

Uwieńczeniem dzieła są myśli o życiu pośmiertnem twórcy Improwizacyi. Tu znów przemówił nietylko historyk literatury i krytyk literacki, ale i człowiek, co kocha i czuje niezmiernie gorąco, uczony, w którym umiejętność analizy ścisłej nie osłabiła zdolności do entuzyazmu i daru wypowiadania własnych odczuć.

„Największy poemat życia Mickiewicza — nie wyśpiewany! i nie napisany! Największy utwór Jego pośmiertny nie z liter i wyrazów się złożył, ale z żywych, gorejących serc polskich, z tych, co się paliły na stosie ofiarnym Ojczyzny, co ogień Jej wiekuisty podsycały — z tych, co wciąż jeszcze na stos nieubłagany wstępują.. Największy Jego poemat przed Boga tron poniesiony, to wieniec płomienny duchów najszlachetniejszych, przezeń do Czynu gnanych.... to skarga ogromna jak Naród cały... Arcydzieło Jego, największy Jego poemat jeszcze niezakończony... Pieśń to wielka, pieśń TWORZENIE... On *tworzy* ciągle, On nie umarł, On działa, tworząc młodych i najmłodszych dzisiaj, jak tworzył

ojców i dziadów. On kształcił pokolenie za pokoleniem i wiódł je Dantejskimi wądołami ku światłu, ku słońcu, ku — Polsce! Oto Jego arcydzieło, oto nadludzki poemat, który trwa nieustannie...“

Przepiękny hołd złożony Geniuszowi Narodu.

To też monografia prof. Kallenbacha to dzieło, jakich dotychczas niewiele w naszym dorobku historyczno-literackim. Jest ono ostatnim wyrazem badań nad Mickiewiczem (obcych także, lecz przeważnie własnych Autora), a równocześnie napisane jest tak, że czyta się je, jak utwory, których celem głównym budzenie wrażeń estetycznych. I dlatego książka prof. Kallenbacha należy zarówno do literatury naukowej i pięknej. Niema w niej miejsc „suchych“, jest ona „pełna ducha“. A przytem styl Autora. Głównem źródłem jego piękna jest prostota. Ani na chwilę nie drapuje się Autor w szatę uczonego, nie dręczy czytelnika mądrymi określnikami — książkę jego może czytać każdy.

Ażeby lekturę dzieła ułatwić kołom jak najszerszym, w wydaniu trzeciem przerzuciłbym nawet wszystkie uwagi o autografach, o tem, co z nich można wyczytać, i t. d., do przypisów, pozostawiając tylko tekst z linią rozwoju, którąby tem jaśniej wystąpiła. Dyssertacyami, w szczegółach niejednokrotnie niezmiernie ważnemi, zajęliby się wówczas tylko „specyaliści“. W uwadze niniejszej w zestawieniu z tem, co powiedziałem wyżej, tkwi pozorna sprzeczność, ale tylko pozorna, bo i te „dyssertacye“ nie są nigdy suche, choć w nie „fachowcach“ nie mogą obudzić interesu. Dodajmy jednak, że już i w omawianem drugiem wydaniu wywody szczegółowe i polemiki znalazły się przeważnie w odsyłaczach.

I jeszcze jedno życzenie czy pragnienie. Monografia drukowała się w fatalnych warunkach, brak *papieru* nie pozwalał Autorowi wielokrotnie na szersze rozwinięcie rzuconych myśli, co na niejednej stronie dzieła zaznaczono. Niekorzystne warunki zmienią się jednak, miejmy nadzieję, o tyle rychło, że nie będą już Autorowi bruździły przy wydaniu trzeciem. Nie należy się zaś ani na chwilę obawiać, by zwiększona objętość monografii miała się odbić ujemnie na jej poczytności (a trzeba, żeby była ona poczytną), natomiast szersze rozwiedzenie wielu cennych uwag przyczyni się do tego, że przed czytelnikiem zarysuje się także w szczegółach pełny obraz życia duchowego poety, tudzież właściwości i rozwoju jego genialnego talentu.

W tych dwu kierunkach życzyłbym nowemu wydaniu zmian, jakkolwiek nie zasadniczych, lecz mimo to pożądanych.

Czy jednak w wydaniu ponownem życzeniom tym (może niesłusznym) stanie się zadość, czy się nie stanie, za to, czem nas Autor obdarzył, winniśmy mu najszczerszą wdzięczność. Dał nam bowiem książkę dobrą i piękną. W roku zmartwychwstania państwowości Polski wskazał „młodzieży polskiej“, jakie skarby zawiera twórczość Mickiewicza i jego *życie*. I tu może dochodzimy do jądra kwestyi. Monografia prof. Kallenbacha nie jest biografią, zupełnie nią nie jest, a problem wartości *życia* poety, życia jako jednego z szczytów człowieczeństwa, jako ofiary, jako wskazania dla narodu, rozwija tak, jak ani w drobnej cząstce nie zdołały tego uczynić monografie inne.

W tem jej urok niezwykły, jedna z podstaw jej wartości i znaczenia i znakomita zasługa Autora.

KONSTANTY WOJCIECHOWSKI.

Dramat w polskiej twórczości ludowej.

CZĘŚĆ DRUGA.

Żywioł dramatyczny w twórczości ludowej.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ III.

Osnowy dramatu.

§ 38. „Czyż poezya nie jest dlatego najwyższą i najgodniejszą pośród innych sztuk, że w niej tylko możliwe są dramaty?“

Takie oto wyniosłe wzniesienie dramatu na szczyty sztuk wszelakich, wypowiedział niegdyś Fr. Schlegel.

Miał on na myśli oczywiście dramat sceniczny. My powyżej już wyjaśniliśmy nasze stanowisko w stosunku do twórczości dramatycznej ludu. Śledziliśmy drogi, po jakich szła ona w kształtowaniu formy scenicznej. Ponadto zbadać nam przyszło materyał powieściowy, kryjący w sobie *in nuce* cały dramat niesceniczny, a wyrażony w narratywnej formie poezyi ludowej.

Poddaliśmy analizie i zestawieniu żywioł dramatyczny, wyrażony w wątkach i motywach drobnych, zawierający główną jedynie ideę, jako zawiązek akcyi dramatycznej. W osobnym rozdziele omówiliśmy, jak wypowiada się lud w komedyi, wogóle w szeregu pomysłów o pierwiastku komicznym.

Teraz przejdziemy do właściwego dramatu, ukrytego w skarbie ludowej poezyi, i omówimy osnowy i tematy dramatyczne, ów mythos, co ujścia nie znalazł w widowisku scenicznem i tkwi jako materyał surowy, w wysokim stopniu przydatny dla dramaturga, w zbiorach i wydawnictwach poezyi ludowej.

Wyjdziemy, rzecz naturalna, z tych samych założeń, jakie przyjęliśmy w rozdziele o wątkach dramatycznych. Uwzględnimy

przytem ten sam podział materyału, bo i tu w osnowach występują konflikty dramatyczne w dwu zasadniczych grupach, jaki zaznaczyliśmy już powyżej: 1) bądź na tle życia zmysłowego, 2) bądź też na tle moralnem.

Tylko, że tu, w tych obszerniejszych pomysłach konfliktów dramatycznych, występują już charaktery ludzkie na tle akcyi misternie często zawiązanej, że w całej pełni obnaża się przed nami dramat ludzkiego wnętrza, duszy człowieczej, targanej namiętnościami i potęgującej uczucia ją nurtujące, aż do czynu pełnego następstw i skutków.

Mamy wrażenie, iż w tym materyale dramatycznych tematów, odzwierciedliły się te wszystkie kolizye bogate we wstrząsające momenta, w których dusza ludu znajduje się w życiu codziennem. Występują te kolizye na tle podkreślonych już dwu zasadniczych podłoży: w pierwszem główną rolę gra miłość, w drugiem wspomniany element moralny.

Z tych dwu ognisk wychodzą pomysły naszych osnów dramatycznych. W pewnej od tych obu grup zależności pozostaje odrębna sfera dramatu fantastycznego, który wyrasta na tle typowych w poezyi ludowej motywów cudowności, przyczem w akcyę dramatyczną wchodzą niejednokrotnie jako osoby aktywne (aktorzy) postacie nierealne, wyobraźnią ludu do życia powołane, wplecione między tamte „dramatis personae“, pełne niekiedy siły i znaczenia.

Przejdziemy zatem po kolei te trzy zasadnicze grupy pomysłów dramatycznych w twórczości ludowej. Nie może tu być mowy o ścisłem rozgraniczeniu materyału pomiędzy te trzy kategorye. Dzieje się tu już inaczej, niźli w wątkach dramatycznych. Te ulegały podziałowi wedle tkwiących w nich motywów, gdy w osnowach dramatycznych następuje splątanie często różnych wątków, utrudniające właściwą linię podziału.

Chodzi nam w tym razie o pewną oryentacyę i przejrzystość w segregacyi materyału, dlatego przyjmujemy i tu pewne rozgraniczenia, zaznaczonemu celowi najlepiej odpowiadające.

Tło zmysłowego życia.

§ 39. Wychodzimy tu znów z określenia tych przeróżnych namiętności, drzemiących w piersi ludzkiej, które nieokiełzaną mocą owładają duszę człowieka, prąc go do działania pełnego następstw, jednem słowem: do czynu.

Konflikty, występujące na tem tle, wyrażają się w tych skupieniach: *a)* jest to bądź ów taniec miłości lub śmierci, ta odwieczna walka między bujnem rozrostem sił dążących do ekspansyi, a przeciwnościami losu, które walczącego bohatera grążą w przepaście zawodów i klęsk, darząc go śmiercią w zakończeniu, *b)* bądź jest to ów znany motyw niewiernej żony, dalej *c)* dramat zazdrości, *d)* lub innych wątków erotycznych, *e)* dramat chciwości, *f)* a wreszcie parę osnów, w których konflikty na tle zmysłowem koncentrują się w dążeniu do śmierci lub zguby przeciwnika.

W tych zarysach, jak niżej ujrzymy, dochodzą do wyrazu dramatyczne dążenia ludu, tkwiące korzeniami w uczuciowej sferze jego natury, impulsywnej i pod wpływem afektu łatwo zapalnej i aktywnej.

a) Przy omawianiu dyalogu dramatycznego wspomnieliśmy już w rozdziele, poświęconym wątkom dramatycznym, o osnowie, będącej treścią dumy pod tytułem „Podolanka“, a zawierającej w sobie akcyę dramatyczną o wątku tragizmu zdrodni. Powyżej już określiliśmy dokładnie samo to pojęcie. Tutaj, by się nie powtarzać, skonstatujemy tylko, że tak w tej osnowie, jak i w szeregu innych, motorem działania bohaterów jest spotęgowane uczucie, przechodzące w żywą namiętność, która owłada wolą osób występujących tak wszechwładnie, iż prowadzi ich do zbrodniczego czynu.

Oto matka chce wydać córkę zamąż za starego, którego panna nie chce. Przyjeżdża cudzoziemiec i słysząc jej płacz i narzekanie radzi jej otruć starego. Dziewczyna słucha zbrodniczej rady, truje męża (w waryantach: brata), lecz wtedy cudzoziemiec odchodzi, mówiąc, że i jego by otruła.[1])

W innem podaniu czyn morderczy jest spowodowany tak uczuciem erotycznem, jak i pewnymi względami materyalnymi. Córka bogatego pana pokochała ubogiego młodzieńca. Rodzice nie chcą pozwolić na małżeństwo, dopóki młodzieniec nie zdobędzie odpowiedniego majątku. Wtedy młodzieniec zamordował bogatego kupca i przywłaszczył sobie jego majątek. W myśl moralnych zasad ludu następuje potem kara, bo woda zalewa po latach domostwo, w którem mieszkała długie lata para małżonków.[2])

---

[1]) Wisła, t. III.

[2]) Wisła, t. VIII., str. 744.

Podobny temat spotykamy w podaniach o Iłży. Na ogromnej skalistej górze stał zamek wyniosły bogatego pana, który dumny ze swych skarbów, szukał królewskiego zięcia dla swej pięknej córki. Wielu było zalotników, lecz na żadnego nie chciał się zgodzić dumny pan. A chował się na zamku ubogi krewny, wielce umiłowany przez córkę pana i bardzo ją nawzajem kochający. Pan zgoła nie domyślał się tego stosunku, aż raz wieczorem przydybał młodych na zwierzeniach i miłosnych wyznaniach. Podsłuchawszy ich rozmowy, porwał młodzieńca za bary i cisnął z wysokiej baszty w głąb przepaści. Gdy biedna kochanka, zwlekła się z łóżka po ciężkiej chorobie, siadywała na kraju owej baszty i tak płakała, że z jej łez trzy jeziora powstały.[1])

Analogiczny temat przybrany już w formy wysoce artystyczne znachodzimy w podaniu o zamku sieradzkim.

Mieszkał w tym zamku możny wojewoda, spokrewniony z najpierwszemi rodzinami w kraju. Dumny ze swego majątku i koligacyi chciał córkę swą, piękną Helenę połączyć z kimś niezwykłym, przez co by wzrósł splendor domu. Ale dziewczę odrzucało wszelkie propozycye, zakochało się bowiem w ubogim malarzu, który na wezwanie wojewody, przyjechał zrobić portret wojewodzianki. Malarz i arystokratyczna modelka pokochali się namiętnie. Gdy się to wykryło, przysięgli dumnemu wojewodzie, że jeśli nie za życia, to po śmierci muszą być sobie poślubieni. Mimo to niewzruszony wojewoda wygnał precz malarza.

Minęło lat sporo. Wymarła niemal cała rodzina wojewody. Helena oszpecona ospą nie wyszła zamąż i ona wreszcie umarła. Podówczas przybył do Sieradzia mistrz Franciszek sławą opromieniony malarz i dowiedział się, że już pomarli wszyscy, a nawet zamek w ruinach. Chciał więc spędzić choć jedną noc na wspomnieniach. W starych, opustoszałych komnatach usiadł u kominka, rozpalił ognisko i marzył. Naraz rozlega się trzask z bicza, zajeżdzają w podwórzec ekwipaże, śmiechy, hałas, tłum gości roi się w pałacu. Dostojni magnaci, biskupi w fioletach, a na czele wojewoda przystąpił do malarza i rzekł: „Przyrzekłeś Franciszku poślubić ją po śmierci, dziś ci ją oddaję“. Prowadzi go do córki, pięknej jak dawniej, ten klęka przed nią, a za chwilę w kaplicy biskup połączył parę. Zdało się, iż mistrz odmłodniał. Przy dźwiękach muzyki suną tany, a wojewoda ujmuje zięcia za rękę.

[1]) Wisła t. XIV. str. 455.

pokazuje mu szkatułę: „Tu twe wiano z Heleną!“ I znów muzyka i tany. Aż kur pieje, znika wszystko, mistrz oniemiały pada na stary fotel, a w ręku jego szkatułka: w niej zbutwiały perganin i strzępy.[1])

§ 40. W tych wymienionych tematach dramatycznych spotykamy cały dramat miłosny. oparty na głębszych pierwiastkach uczucia. Konflikt występuje tu na tle starcia między gorącym żarem miłosnym, który chce pokonać wszystkie przeszkody, a zimną i nieubłaganą naturą osób trzecich. co pragną raczej kierować się rozsądkiem, niźli uczuciem, wtłaczając życie całe w pewne formy, w jakiej za ciasno jest naturom uczuciowym. Bunt i walka z otoczeniem przynoszą w rezultacie upadek bohaterów: taniec miłosny kończy się zgrzytem dysonansu: śmiercią.

Przypatrzmy się dalszym osnowom tego dramatu serca. Oto syn pasterza (w waryant. grabarza) uczy się razem z córką pana, wysyłają ich razem do szkół i tam wywiązuje się między niemi miłość. Wtedy rodzice w obawie, by syn pasterza nie stał się przypadkiem ich zięciem, zmuszają go do wyjazdu. Po latach, gdy on wraca, dowiaduje się, że w tym dniu jest właśnie jej ślub. Jedzie więc na wesele, a panna, ujrzawszy pierścień, który mu niegdyś ofiarowała, umiera.[2]).

Inny temat ma treść następującą: w córce stolarza zakochał się zegarmistrz, a gdy musiał odejść na czas pewien, zdjął pierścień z palca i rzekł: „To jest ślub nasz!“ W niedługim czasie upodobał sobie dziewczynę złotnik, a że rodzice tego chcieli na zięcia, przyszło do wesela. W dniu ślubu powrócił ów zegarmistrz i pyta się ludzi, czyje to wesele. Dowiedziawszy się, że jego ukochanej, wszedł do komnaty złotnika i ciął go mieczem w pierś, a sam się szybko potem przebił. „Stój! — zawoła dziewczyna — matki to była wola, nie moja.“ Matka wzięła powróz i obwiesiła się, a ojciec nożem gardło sobie przeciął.[3])

Podobnie nieprzychylny zbieg okoliczności, niby *fatum* nowoczesne zawisa na głowami innych kochanków, których niedługo miał już ślub połączyć. Lecz z powodu napadu Tatarów skryć się musiała gromada cała do jaskini pod Czercza, a pośród innych znaleźli się tu i Hanka z swym narzeczonym Hryciem. Pełni byli oboje złych przeczuć. On pocieszał smutną, narzeczoną, choć sam

[1]) Lud, t. VII., str. 122.
[2]) Zb. wiad. do antrop., t. XV.
[3]) Kolberg: Pieśni. Ser. I. (25).

był pełen obawy. Obiecał jej więc, że nocą, gdy część młodych wychodzi na wieś za żywnością, i on pójdzie i sprowadzi księdza Cyryla, by dał im ślub w kryjówce. Przed rankiem kapłan był w jaskini. Drużki wesoło krzątają się koło panny młodej i chcą jej warkocze rozplatać. Lecz Hanka pełna smutku. „Gdzież mój barwinek weselny?! — woła i nie chce iść do ślubu bez wianuszka. I szybko wyślizga się z jaskini, po schodach pnie się ku wyjsciu i w jarze już zrywa kępkę barwinku. Radosna wraca do jaskini, lecz w powrocie obziera się i nagle spostrzega, że tuż na dole smagły Tatarzyn kiwa ręką na nią, a w drugiej trzyma łuk napięty. Biedna rzuciła się w przerażeniu ku jasini. Wpadłszy tam, pada zemdlona na ręce drużek. A hufiec tatarski zbliżył się pod jaskinię, a ten sam Tatarzyn zapchał otwór słomą i podpalił. Śmiech szatański rozległ się w jarze, a z jaskini okrzyk rozpaczy dolatał. Dym trujący napełnił jaskinię. Hanka po raz ostatni otwarła oczy z omdlenia, a Hryć ułożył jej na głowę wianek z barwinkiem i w ostatnim uścisku skonali.[1])

Dramat miłości niewiernej spotykamy w opowieści p. t. „Sąd Skarbnika“ [2]). W chacie górnika Szymona smutek. Oto kona on na łożu. Za chwilę przyszedł Grześ, narzeczony Anusi, córki Szymona, a stary powitał go z rozrzewnieniem. Przyjął niedługo ostatnie Sakramenta i pobłogosławił młodą parę przed śmiercią. W jakiś czas po śmierci Szymona, oboje młodzi wybrali się na odpust św. Krzyża. Wracając z powrotem, musieli się schronić w lesię, bo zaskoczyła ich burza. Nie mogąc z powodu ciemności iść do domu, musieli wrócić do miasta i wstąpili do karczmy. Tu już była zabawa w całej pełni. Zwolna i młodzi poczęli brać w niej udział, a Grześ ujrzał piękną Katarzynę, która okazywała mu otwarcie względy. Gdy jeszcze Anusia tańczyła wciąż z młodymi górnikami, Grześ zły, odsunął się ku starszym, którzy poczęli odradzać mu małżeństwo z ubogą Anusią i raili małżeństwo z bogatą i uroczą Kasią.

W milczeniu wrócili potem młodzi do siebie. Odtąd zmienił się Grześ. Nie darzył takiem uczuciem Anusię, jak dawniej, a ona napróżno starała się go do siebie znów przywiązać. Pewnego dnia Grześ znikł, nikt nie widział, by wyszedł z podziemi, mówiono,

---

[1]) Lucyan Siemieński: „Podania i legendy“. Poznań 1845. str. 101.

[2]) Kolberg: Lud. Serya XXI., str. 209.

że spotkała go kara z rąk Skarbnika.[1]) Anusia zmysły straciła po tej stracie. Co dzień klęczała przy sztolni, modląc się za narzeczonym, aż raz zastano ją martwą.

Po wielu latach ukazał się w tym miejscu człek jakiś obłąkany. Mówił o skarbach i cudach widzianych. Gdy go przyprowadzono do proboszcza staruszka, ten poznał w obcym Grzesia zaginionego. Pod wpływem pobytu na grobie Szymona i Anusi wrócił mu rozum i wtedy wyznał, że gdy postanowił już zdradzić Anusię. wtedy raz Skarbnik chciał mu pokazać skarby i tak wiódł go za karę lat pięćdziesiąt. Prosi proboszcza o rozgrzeszenie i umiera.

§ 41. W zestawionych tu osnowach dramatycznych spotykamy zawiązki tragiczne, wyrażające się bądź w sytuacyach, bądź w charakterach. Jest to formą tragizmu, iż współdziałają tu odpowiednio usposobieni ludzie i odpowiednie sytuacye. Jeśli określamy tu daną sytuacyę jako tragiczną, to nie mówimy przez to, że ona sama w sobie wykazuje tragizm i przedstawia go. Mamy tu tylko na myśli, iż zawiera ona w sobie przyczyniające się, może nawet przymuszające warunki dla rozwoju przejść, jakim ulegają charaktery tragiczne.[2])

W każdej z tych osnów widzimy splot tych momentów tragizmu: z jednej strony kochankowie, płomiennem żyjący uczuciem, jednem ogarnięci pragnieniem, by złączyć się, żyć razem szczęśliwie, a równocześnie albo inne przeciwne, szorstkie, egoizmem powodowane charaktery, dążące do zniszczenia ich szczęścia, lub też sytuacye, kryjące w sobie warunki dla ich zguby i zatraty.

I czy będzie to dumny pan, wojewoda, czy biedny stolarz, obaj będą mieli w sobie zawiązek tragicznych przejść dla pary kochanków, bo ich sprzeciw połączeniu się obojga stworzy dla miłującej się pary sytuacyę bez wyjścia.

Jest to t. zw. przez Volkelta tragizm typowo-ludzkiego rodzaju, w przeciwstawieniu do indywidualno-ludzkiego, wyrażającego wypadek odosobniony, ważny tylko pod względem psychologicznym, gdy pierwszy rozszerza się do znaczenia ogólnoludzkiego, jako tragicznego losu, wspólnego całej ludzkości.[3])

I jeśli o Shakespear'owskim „Romeu i Julii", powiada słusznie Volkelt, za moc wrogą parze kochanków należy uważać nie-

---

[1]) Skarbnik jest to duch opiekuńczy kopalń i górników, wskazujący niekiedy chciwym skarby kopalni, by ich później za to ukarać.

[2]) Volkelt: „Aesthetik des Tragischen", str. 270.

[3]) Volkelt l. c. str. 309, 310.

tylko zatarg obu rodzin, lecz całość tych stosunków wrogich obojgu, w których jest coś nizkiego i szorstkiego w porównaniu z pięknem czystego, idealnego związku miłości, to też same czynniki występują w naszym dramacie serca: I tu rzec możemy za teoretykiem tragizmu, iż „wrażenie nasze przechodzi w pewność, że los występuje wrogo przeciw wszystkiemu, co ponadziemsko wznosi się do wyżyn; być złamanym przez srogie, nieubłagane potęgi na ziemi, to jest niestety zbyt częsty los subtelnej, dla siebie samej żyjącej, miłości, los goretszych naprzód dążących duchów: los piękna na ziemi".[1])

W tych osnowach miłosnego dramatu, gdzie dochodzi do wyrazu czysta miłość między wojewodzianką a ubogim malarzem, lub panną z magnackiego domu a ubogim krewnym, tu właśnie kryje się zawiązek tragicznego konfliktu: los przeciwny miast szczęścia śmiercią darzy bohaterów.

Przejdźmy z kolei do dalszych osnów o motywie erotycznym, w którym jednak miłość nie stoi już na tej wyżynie czystego uczucia, a zniża się bardziej do afektów zmysłowych.

Córka bogatego kupca zakochała się w prostym żołnierzu, niezwykłej urody, więc obdarowała go mundurem i pieniędzmi. Dowiedział się o tem jego porucznik i doniósł ojcu. Ojciec umieścił córkę w klasztorze. A gdy ów żołnierz szedł raz pod murami klasztoru, ona mu poradziła, by przebrał się za przekupnia, przyszedł do klasztoru, a w koszyku przyniósł sznur dla niej. Ten tak uczynił, o północy przyszedł po nią, mając wóz i konie, a ona spuściła się po sznurze z klasztoru i uciekła z nim. Ciąg dalszy zbyt sensacyjny, opowiada, jak na żądanie ojca gonił ją jakiś oficer, a gdy ją dogonił i chciał posiąść, wtedy go ona zabiła itd.[2])

Inne podanie opowiada o królewnie, która choć młoda i niewinna, chciała pokutować na świecie. Dlatego przebrana w liche szaty, chodziła po prośbie, aż w pewnym domu wzięto ją na służbę i dano do spiżarni. Ale podobała się ona paniczowi, który począł się do niej zalecać. Raz gdy krajała chleb ostrym nożem, a on zbyt obcesowo ją napastował, tak nieszczęśliwie rzuciła nożem, iż zabiła go. Za karę pogrzebano ją żywą z umarłym. Ona cudownie przywraca mu życie i oboje wychodzą z grobowca.[3])

[1]) Volkelt, l. c., str. 314.
[2]) Materyały do antrop., t. VI.
[3]) Kolberg: Lud. Ser. VIII. (45).

§ 42. *b)* Powyższe tematy okazały nam, jak miłość czysta, uczucie między dwojgiem kochanków spotyka przeszkody nieprzezwyciężone, iż w walce z niemi dochodzą bohaterowie do zagłady i zatraty. Akcya, w którą wplatają się afekta pary miłosnej, kryje więc w sobie zalążki nieszczęścia, iż w dalszym rozwoju działania czyn osób, biorących udział w konflikcie, łączy się z warunkami pewnej sytuacyi i stwarza błędne koło z którego już wyjścia niema na drogę szczęścia.

Przechodzimy teraz do tej grupy uczuć erotycznych, w których główną rolę odgrywa zmysłowa namiętność, że już nie wzrusza nas tu współczucie dla piękna dusz czystych, które los zawistny wiedzie w przepaść, lecz jawią się przed nami żywiołowe, pierwotne instynkty ludzkie, obnaża się w swej nagości rozmyślny grzech, powstały z żądzy zaspokojenia nizkich popędów. Motyw niewiernej żony w osnowach dramatycznych kryje właśnie w sobie te starcia i konflikty na tle pragnień zakazanych owoców.

Dr. Adam Brzeg-Piskozub.

(Ciąg dalszy nastąpi).